

JANA FREY

BEZ ODWROTU

Tytuł oryginału

Rückwärts ist kein Weg: Schwanger mit 14

Historia oparta na faktach.

Imiona, nazwiska i miejsca zdarzeń zmienione w oryginale przez redakcję.

PROLOG

Lilli usiadła naprzeciwko mnie i spojrzała mi prosto w oczy. Potem opowiedziała cichym głosem swoją historię.

Historię Dawida.

I Camilla.

To, jak wszystko się zaczęło. I jak wszystko wymknęło się spod kontroli.

I to, jak jest dzisiaj.



Tworzyliśmy najmniejszą rodzinę na świecie: tylko ja i mama.

Moja przyjaciółka Annalena ma mamę, tatę, ojczyma, siostrę rodzoną i przyrodną oraz małego siostrzeńca. Poza tym ma dwie babcie, a także dziadka i babcię ze strony ojczyma. Matka babci ze strony ojczyma jeszcze żyje i dla Annaleny jest, można rzec, prababcią. Przyjaciółka odwiedza ją raz w tygodniu, po południu, i gra z nią w Nintendo* lub rozmawia o życiu i tym podobnych sprawach.

Druga moja przyjaciółka, Wiktoria, też ma mamę i ojczyma oraz trzy siostrzyczki przyrodnie. Jej biologiczny ojciec mieszka w Paryżu, gdzie się ponownie ożenił i ma dwóch małych synków bliźniaków, którzy dla Wiktorii są przyrodnymi braćmi. Odwiedza ich ona w każde wakacje. Jest jeszcze babcia, która mieszka w tym samym co ona domu, oraz francuski dziadek, mieszkający razem z jej ojcem w Paryżu. A my byliśmy po prostu dwie: ja i mama.

*

Parę lat temu, w siódmej klasie, dostaliśmy z wiedzy o społeczeństwie zadanie domowe, polegające na wyszukaniu naszych korzeni. Mieliśmy opisać swoje rodziny i stworzyć drzewo genealogiczne.

- Wspaniale, w moim przypadku pójdzie szybko! - powiedziałam do Annaleny, wruszając ramionami. - Wpiszę siebie, potem moją mamę i, *voilà*, drzewo genealogiczne gotowe!

Zamyślona spoglądałam przez okno. Na zewnątrz była zima: zimny, mokry, ponury luty. Minęło już Boże Narodzenie, minął sylwester i ferie zimowe. Nie wiedzieć czemu, nagle zrobiło mi się smutno.

Moje uczucia do ojca... Jak dobrze je znałam. Te wszystkie „Gdzie on jest? Co robi? Czy myśli czasami o mnie? Dlaczego nigdy nie dał znaku życia?” Po raz pierwszy jednak odczułam brak również dalszej rodziny: rodziców mojej mamy, rodziców mojego nieznanego mi ojca. Mama nie miała rodzeństwa. A tato?

To, że w ogóle istniała, było zwykłym przypadkiem, skrzętnie skrywaną tajemnicą, owianą skandalem. Ojcem mojej mamy był bowiem katolicki ksiądz, a jej matka pochodziła z Polski i przez wiele lat pracowała u niego na plebanii jako gospodyni. Dopiero po czterdziestce zaszła w ciążę i urodziła moją mamę. Ksiądz miał już wtedy ponad pięćdziesiąt

* *Nintendo* - gra komputerowa, przyp. tłum.

lat i nigdy nie przyznał się do dziecka, którego nie wolno mu było spłodzić. Pozostał duchownym i zatuszował całą sprawę, wysyłając moją ciężarną babcię z powrotem do Polski. Tam dorastała moja mama. Przyjechała do Niemiec dopiero po ukończeniu szkoły. Chciała poznać ojca. On jednak już dawno zmarł. Mimo to mama została tutaj. Akurat kiedy była w ciąży ze mną, jej matka zmarła w Polsce.

- Właściwie co wiesz o swoim ojcu? - spytała mnie Annalena tamtego lutowego popołudnia.

Wzruszyłam ramionami.

- Tyle, co nic - odpowiedziałam w końcu cicho.

- "Tyle, co nic" znaczy, że jednak coś wiesz - odparła przyjaciółka, obejmując mnie ramieniem. Nadal wpatrywałam się przez okno w szare, zachmurzone zimowe niebo. Mieszkałam wtedy w wysokim, wielopiętrowym bloku, stojącym nieco na uboczu. Spoglądając z okien mojego pokoju, miało się uczucie, że jest się prawie w niebie. Przecięła je właśnie duża chmara skrzeczących ptaków, przelatujących tuż obok nas. Piękny widok...

- Opowiedz wreszcie - nalegała Annalena.

- Co? - spytałam, myśląc z zakłopotaniem o tym, jakiemu to przypadkowi zawdzięczam, że w ogóle przyszedłam na świat.

- O swoim ojcu - odparła przyjaciółka.

Ptaki zniknęły z pola widzenia, ale już w następnej chwili znów się pojawiły, jakby znikąd, i czarnym triumfującym obłokiem zaczęły wirować na nowo przed moim oknem. Znów krakały jak oszalałe. Wydawało się, że latają tak w kółko z czystej przyjemności. Czy miały rodzinę? Ojca - wronę, mamę - wronę, dzieci - wrony, ciotki, wujków, dziadków? Czy tak było istotnie? Czy też były wymieszane jak pola kolorowej szachownicy i zupełnie przypadkowo fruwały razem? Podobnie jak ludzie, którzy spotykają się w podróży i po tygodniu, dwóch znów rozchodzą się w swoje strony?

- Lilli, no powiedz coś - nalegała Annalena, kładąc się na brzuchu na moim łóżku.

- Mój tato ma na imię Paul - powiedziałam.

- Aha. A dalej?

Milczałam, myśląc o zapisie w moim zeszycie do wiedzy o społeczeństwie: „Drzewo genealogiczne mojej rodziny:

Lilli Milewski

Maria Milewski (moja mama)”.

Nie pamiętałam już imienia polskiej babci. Ale, bądź co bądź, nigdy jej też nie widziałam.

- Opowiadaj wreszcie - przynaglała Annalena.

Spojrzałam znów w niebo, chmara ptaków zniknęła ostatecznie. Skierowałam wzrok na szarą o tej porze roku część miasta. Małe domki, małe samochody, огоłocone z liści małe drzewa, małe skwery i gmatwanina małych ulic - taki widok roztaczał się przed moimi oczami.

Tęskniłam za wiosną, słońcem, za tym, by pójść do parku, usiąść nad brzegiem stawu i rzucać kamyki do wody. Wieczorem zaś razem z Annaleną i Wiktoria mogłybyśmy rozsiaść się pod rozłożystą lipą na końcu parku, nie martwiąc się, że zmarzniemy.

- Mama niechętnie o nim mówi - powiedziałam w końcu z ociąganiem. - Poznała go ot tak gdzieś, kiedyś, a potem pojawiłam się ja. Jednak on nie chciał żadnego dziecka i przeprowadził się do innego miasta. Więcej nic nie wiem...

Annalena zmarszczyła czoło.

- Ale przecież musiałaś go jakoś obchodzić - oświadczyła, choć ja życzyłamby sobie, by tego nie wypowiedziała. Ani też tego, co powiedziała zaraz po tym:

- Przecież jesteś jego córką. Bez sensu...

Wtedy miałyśmy po dwanaście lat. Tamtego wieczoru mama natrafiła wzrokiem na mój otwarty zeszyt. Leżałam już w łóżku.

- Twoja babcia nazywała się Irena Milewska - powiedziała, siadając na brzegu łóżka. - Była bardzo ładna, ale jednocześnie śmiertelnie poważna i troszeczkę nudna. Jako dziecko zawsze chciałam, by była młodsza i weselsza. By więcej opowiadała i śmiała się. Za to była naprawdę ładna, a ty, Lilli Milewski, odziedziczyłaś po niej śliczne oczy...

Spojrzałam na mamę.

- A co odziedziczyłam po moim tacie? - spytałam ostrożnie. Mama westchnęła, ale wytrzymała mój wzrok.

- Kształt dłoni - odparła po chwili wahania i pogłaskała mnie po ręce, którą trzymałam na kołdrze. - I sposób, w jaki się śmiejesz.

Więcej nic nie powiedziała, ja też jej nie wypytywałam.

*

Następnego dnia mama z różności, które znajdowały się w pudełkach walających się po całym jej pokoju, wyszukała dla mnie zdjęcie babci. Przypięła je pinezką do korkowej tablicy w kuchni.

Przyglądałam się przez chwilę fotografii.

- Wtedy właśnie się urodziłam - powiedziała mama i nalała sobie lampkę czerwonego

wina. - Zdjęcie zostało zrobione we Wrocławiu.

Przeniosłam wzrok ze starej fotografii na mamę. Miała już trzydzieści pięć lat, ciemne, kręcone włosy zwykle luźno upinała do góry. Na czole umazana była czerwoną farbą, a gołe stopy poplamiała zieloną. Mama pracowała jako pielęgniarka w miejskim szpitalu, gdzie asystowała anestezjologom. Gdy tylko wracała z kliniki do domu i zrzucała biały fartuch, w naszym małym mieszkanku zaczynała rozbrzmiewać głośna muzyka, a ona poświęcała się jednemu z wielu swoich artystycznych projektów. Czasami malowała ogromnych rozmiarów obrazy, płótno za płótnem. Wystawiała je później w galerii przyjaciela. Odlewała też gipsowe figurki lub tworzyła różne rzeczy z odpadów drewna i metalu, które razem zbijała gwoździami, a potem sprejowała kolorowymi farbami. Nasze mieszkanie pełne było takich figur, rzeźb i innych osobliwości.

Spojrzałam znów na poważną panią na zdjęciu. Ubrana w jasną, zapinaną pod szyją bluzkę, marszczyła lekko czoło i uśmiechała się zamkniętymi ustami. Włosy miała gładko zaczesane do tyłu i spięte. Tylko przy nasadzie można było zauważyć, że lekko się kręca. Wyglądała na wyczerpaną i podenerwowaną.

- Aż trudno uwierzyć, że jesteś jej córką - powiedziałam w końcu do mamy.

Przytaknęła.

- Przyjrzyj się jednak jej oczom - odparła. - Są takie jak twoje.

Pokręciłam głową.

- Nie widzę podobieństwa - mruknęłam.

- Co ty mówisz? Ten sam kolor tęczówki, te same rzęsy i powieki. Nawet ten sam kształt brwi.

- A twój tato? Jego zdjęcie też masz? - byłam ciekawa. Mama zaprzeczyła ruchem głowy.

- Twoja babcia miała wcześniej kilka fotografii. To były zdjęcia z pielgrzymki kółka parafialnego do Ziemi Świętej, ale wszystkie wyrzuciła, kiedy mój ojciec odprawił ją z powrotem do Polski...

Spojrzałyśmy na siebie.

- A zdjęcia... mojego ojca? - spytałam cicho.

- Mam tylko jedno jedyne, na którym go widać - odparła z wahaniem. - Jest gdzieś w skrzyni. Zostało zrobione któregoś popołudnia na starówce w Moguncji. Obiecuję, że znajdę je i ci dam.

Nic nie odpowiedziałam. Czułam mocne bicie serca.

*

Wiosną, krótko po moich trzynastych urodzinach, przypadkowo usłyszałam jedno zdanie z rozmowy telefonicznej mojej mamy. Stała na drabinie w dużym pokoju i właśnie zabierała się za formowanie chudej zielonej twarzy z masy papierowej na takim również korpusie. Telefon bezprzewodowy włożyła sobie między ucho a ramię. Dzwonił Bernard, właściciel galerii. W niej właśnie następnego tygodnia mama miała wystawić swoje zielone stwory z papieru.

- Żeby go szlag trafił! - przeklinała. - Nigdy nie dał nawet złamanego grosza na utrzymanie Lilli! A teraz słyszę, że zrobił superkarierę i ma dwójkę dzieci!

Stałam jak wrośnięta w ziemię. Jej słowa huczały mi w głowie. Ostrożnie, na palcach, odwróciłam się i wślizgnęłam z powrotem do swojego pokoju. Mama na szczęście nic nie zauważyła.

Nie wiem, co później robiłam. Pamiętam tylko, że jej słowa dźwięczały mi w głowie całymi dniami. Nie mogłam ich niczym odpędzić. Zasypiałam z nimi i budziłam się z nimi.

Mój ojciec mnie nie chciał, przez ostatnie trzynaście lat nie wykazał żadnego zainteresowania mną. Było mu obojętne, czy żyję, czy też umarłam, czy dobrze mi się wiodło, czy też źle. Ale miał nowe dzieci, o które wydawał się troszczyć.

Nikomu nie zwierzyłam się z tych myśli, nawet Annaleni i Wiktorii.

*

W piątkowe popołudnia Annalenę odbierał ze szkoły jej tato. Wiktoria natomiast każdego sobotniego wieczoru rozmawiała przez telefon ze swoim ojcem, który mieszkał w Paryżu.

- Chcesz iść ze mną i moim tatą na pizzę do „Luigiego”? - spytała mnie Annalena w piątek tego samego tygodnia.

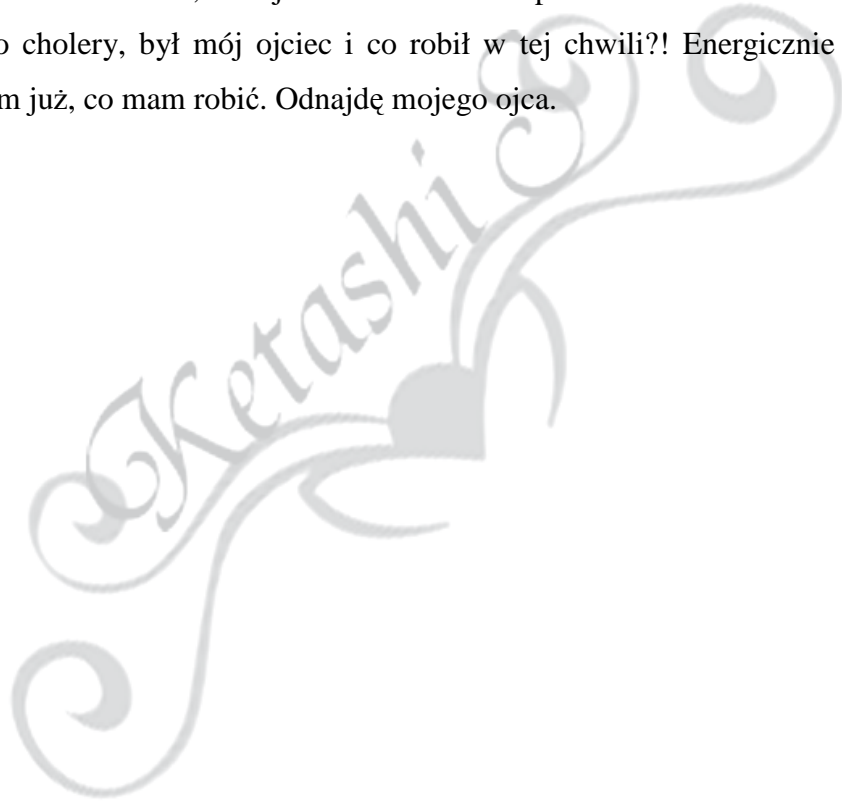
Przecząco pokręciłam szybko głową. Chwilę później obserwowałam z daleka, jak przyjaciółka biegnie przez szkolny dziedziniec do ojca, który czeka na nią przy bramie oparty o murek. Pocałował ją w czubek nosa, wziął za rękę i razem odeszli.

Zrobiło mi się ciężko na duszy. Bardzo powoli ruszyłam w stronę przystanku, później wsiadłam do autobusu i pojechałam do domu. W głowie, której ból zaczęłam odczuwać, kołatały mi setki pytań. W domu stanęłam przy otwartym oknie i głęboko wdychałam zimne, wilgotne miejskie powietrze. Szare niebo przysłaniały ołowiane chmury z ciemnymi smugami. Samotna czarna wrona ciężko wzbijała się ponad nie. Wodziłam za nią wzrokiem, aż całkiem zniknęła. Gdzie były inne ptaki? Dlaczego ten tutaj był sam?

Moja twarz zrobiła się zupełnie zimna. Poczułam, że drzę i zbiera mi się na płacz: uрониłam nawet kilka łez. Dlaczego ostatnio byłam tak smutna? Wcześniej chętnie chodziłam z Annaleną i jej tatą do „Luigiego”, dlaczego więc dziś z nimi nie poszłam? Pomyślałam o tacie przyjaciółki. Był wesoły i zawsze bardzo miły dla mnie, kiedy odwiedzałam go wraz z Annaleną. Miał już trochę przerzedzone włosy, a jego łagodne fiołkowe oczy przypominały troszeczkę oczy dziecka. Poza tym był wysoki i bardzo szczupły. W jego mieszkaniu wszędzie wisały fotografie Annaleny. Annalena jako niemowlę, Annalena jako kilkulatka, Annalena w przedszkolu, Annalena w szkole, Annalena z harcerzami, Annalena, Annalena, Annalena...

natomiast mój ojciec nie miał ani jednego mojego zdjęcia! Poczułam się nagle jak ta samotna, ociążała czarna wrona, której lot obserwowałam przed kilkoma minutami.

Gdzie, do cholery, był mój ojciec i co robił w tej chwili?! Energicznie zamknęłam okno. Wiedziałam już, co mam zrobić. Odnajdę mojego ojca.



To było prostsze, niż przypuszczałam. Mama miała spędzić całe popołudnie z zielonym papierowym stworem w galerii Bernarda, gdyż następnego ranka było otwarcie jej wystawy. Miałam więc wystarczająco dużo czasu.

W mieszkaniu panowała całkowita cisza, wieża była wyłączona, nie zadzwonił też ani razu telefon. I tak rozpoczęłam poszukiwania w pokoju mamy. Na jednym z czterech sięgających sufitu regałów stały na widoku trzy segregatory. Wyciągałam je kolejno i znajdowałam w nich dokumenty podatkowe, rachunki za telefon i polisy ubezpieczeniowe. Niecierpliwie odłożyłam segregatory z powrotem na miejsce. Mój wzrok powędrował znów po wysokich, wypełnionych półkach. Odkryłam kilka tekturowych pudełek i sześć blaszanych skrzynek. Ostrożnie zdejmowałam je z regału. Znalazłam w nich mnóstwo starych zdjęć, listów, pocztówek, pędzli i flamastrów, mapy i plany miast, świadectwa, stare, pomiętoszone podania o pracę i dwie plastikowe róże, jakie zdobyć można na strzelnicy podczas jarmarków. Skąd się wzięły i dlaczego mama je zachowała? Odkryłam jeszcze mały plastikowy pojemnik z wysuszonymi resztkami soczewek kontaktowych. Kręcąc głową, odłożyłam je z powrotem i wytarłam o dzinsy zimne, brudne od kurzu ręce. Serce biło mi z podniecenia. Byłam pewna, że mama wpadłaby w złość, gdyby wiedziała, że tutaj szperam.

Przeszukałam wszystkie skrzynki i pudełka. Zmęczona i bezradna usiadłam na niepościelonej leżance. Znalazłam masę starych zdjęć, na których rozpoznałam siebie. Kilka z nich rozłożyłam na podłodze. Oto ja jako golutki niemowlak na rękach mamy. Te fotografie były czarno - białe. Na innym zdjęciu zadowolona kucam na drewnianym moło nad morzem w Szwecji. Uśmiechnęłam się do siebie. Na trzeciej fotografii mam warkocze i zapłakana siedzę na zewnątrz kawiarenki i piję przez słomkę lemoniadę. Kolejne ujęcie to ja razem z Annaleną i Wiktoria. Mama zrobiła je zeszłego lata na basenie. Na piątym zdjęciu jestem z mamą na jej pierwszej wystawie. Miałam wtedy dopiero cztery lata. Stworzyła wysokie, wąskie konstrukcje z metalu, w które wbudowane zostały elektroniczne czujniki. Ilekroć się obok nich przechodziło albo machało rękoma w powietrzu w ich sąsiedztwie, wydawały z siebie brzęczące odgłosy. Dobrze to zapamiętałam, bo początkowo bardzo się ich bałam.

Nie zastanawiając się nad tym, co robię, wstałam i przyniosłam z biurka mamy dużą kopertę. Włożyłam do niej zdjęcia, po czym zakleiłam ją i napisałam czarnym mazakiem „Lilli”. Te zdjęcia postanowiłam dać swojemu tacie, jeśli go kiedykolwiek odnajdę.

Stałam pośrodku pokoju mamy, gdy mój wzrok nagle padł na cienką, szarą teczkę,

która wciśnięta była między ścianę a kilka książek na najwyższej półce. Jak zahipnotyzowana wpatrywałam się w nią. Czułam bicie serca. „To musi być to! Teczka, w której znajdę to, czego szukam!”

Byłam o tym całkowicie przekonana, choć nie wiedziałam, skąd wzięła się ta pewność. Po prostu była. Drżąc z emocji przystawiłam krzesło i stanęłam na nie. Wyciągnęłam teczkę i szybko otworzyłam. Zawierała dziesięć kartek: moje świadectwo urodzenia, dwustronicowy list z laboratorium medycznego, dowód uznania ojcostwa i sześć innych pism pochodzących od dwóch adwokatów.

Na wszystkich dokumentach widniało jedno i to samo nazwisko: Paul Bergmann.

Paul Bergmann - mój tato!

Oblał mnie zimny pot. Oszołomiona schodziłam z krzesła, kiedy odkryłam jeszcze jedną małą karteczkę. Musiała wypaść z teczki, leżała teraz na podłodze. Ostrożnie podniosłam ją.

Był to pożółkły rachunek z napisem: Kawiarnia Korfmanna - Moguncja, a na odwrocie coś zostało nabazgrane: „...jak to wspaniale, że jesteś, Mario!”, odczytałam. A pod spodem: „Twój Paul”.

*

Paul Bergmann... Siedziałam na szerokim parapecie w moim pokoju i spoglądałam ponad dachy. Mama nie wróciła jeszcze do domu, a ja byłam mocno podekscytowana. Dokładnie przeczytałam wszystkie dokumenty znajdujące się w szarej teczce. W metryce urodzenia w rubryce „rodzice” wpisano jedynie nazwisko mamy, a list z laboratorium był wynikiem badania stwierdzającego, że mój tato jest faktycznie moim tatą! Żeby to sprawdzić, przebadano jego krew, moją i mamy! Liczyłam wtedy jedynie dziesięć miesięcy i oczywiście nic nie rozumiałam z tego wszystkiego. Całkiem na dole zaznaczono, że mój tato rzeczywiście, naprawdę, był moim tatą. Czytałam to w kółko od nowa.

Jednak pismo z nagłówkiem „Dowód uznania ojcostwa” było najbardziej interesujące z całej teczki. Wciąż czułam bicie serca, kiedy się mu przyglądałam. Widniało na nim moje nazwisko, pod spodem nazwisko mojego taty, a u dołu - jego podpis! Nie mogłam oderwać wzroku! Ładny charakter pisma. Zamaszysty i płynny. Wiedziałam, że tato miał wtedy prawie dwadzieścia lat. Tak więc teraz liczył sobie trzydzieści trzy lata, był dwa lata młodszy od mojej mamy. Obchodził urodziny w marcu, tak jak ja.

Listy obu adwokatów zawierały mniej przyjemne informacje. Wynikało z nich, że tato nie płacił na moje utrzymanie. Przez pierwsze dwa lata miał po prostu niewiele pieniędzy,

miejski urząd ds. młodzieży przejął obowiązek przekazywania mojej mamie comiesięcznej zapomogi. Później jednak ojciec też nic nie płacił.

Wciąż przypatrywałam się podpisowi na dowodzie ojcostwa, którym to mój tato uznał, że jest moim ojcem. Paul Bergmann i Lilli Milewski. - Paul Bergmann i Lilli Bergmann. Lilli Bergmann.

Po chwili usłyszałam kroki mamy i szybko wsadziłam szara teczkę do swojej szafki. Jedynie rachunek z kawiarni Korfmanna włożyłam do dziennika, „...jak to wspaniale, że jesteś, Mario! Twój Paul”. Zaczerpnęłam głęboko powietrza i postanowiłam zapytać mamę o całą historię. Ale gdy poszłam do przedpokoju, zobaczyłam, że nie była sama. Przyszła z Bernardem. Został u nas na cały wieczór.

- Bernard i ja mamy wiele spraw do omówienia w związku z wystawą - wyjaśniła pospiesznie. Jednak później oboje usiedli zwyczajnie w kuchni, przy naszym niewielkim stole, i popijali czerwone wino. Przysiadłam się do nich i z każdą minutą zaczęło do mnie docierać, że Bernard jest nie tylko właścicielem galerii, lecz też wyraźnie dla mojej mamy znaczy coraz więcej.

Kiedy położył rękę na jej popryskanej farbą dłoni, wstałam i poszłam do swojego pokoju.

Położyłam się na łóżku. Poczułam tęsknotę za innym życiem. Życiem, w którym znalazłby się mój tato.

*

Nastało lato, później przyszła jesień i zima, a ja dla zewnętrznego świata pozostawałam dalej Lilli Milewski. Jednak głęboko, w środku, byłam Lilli Bergmann. Nocami, w łóżku, pisałam wciąż w swoim dzienniku: Lilli Bergmann, Lilli Bergmann, Lilli Bergmann... Chciałam to tak często zapisywać, by wreszcie okazało się, że podpisuję się tym nazwiskiem częściej niż Lilli Milewski.

Niedługo po Bożym Narodzeniu wraz z Annaleną odwiedziłam jej przyszywaną prababkę. Najpierw jadłyśmy razem ogromną pizzę. Prababcia wypiła do niej kieliszek montepulciano*, a dla nas wcześniej zaparzyła w dzbanku herbatę. Później rozegrałyśmy partyjkę Nintendo i trochę pogawędziłyśmy, Staruszka opowiedziała nam najpierw o swoich trzech małżeństwach i o ostatnim przyjacielu, Włochu, z którym przeżyła wspólnie kilka lat, dopóki nie zmarło mu się tak po prostu, niespodziewanie, kiedy to siedział sobie przy stoliku w ogrodzie i w zamyśleniu spoglądał na krzak magnolii.

* *montepulciano* - czerwone wytrawne wino produkowane w Toskanii, przyp. tłum.

- Wiem, wiem, miał już prawie osiemdziesiątkę - prababcia przyznała zamyślona. - Ale mimo to nie byłam przygotowana na jego odejście. I ciągle jeszcze za nim tęsknię! Nie ma godziny, bym o nim nie myślała. Można powiedzieć, że wciąż jest przy mnie. To jest zarazem i radosne, i bolesne...

Kiedy usłyszałam jej słowa, pomyślałam o ojcu. Ja też bezustannie za nim tęskniłam, jednak myśl o nim nie wywoływała nawet jednego wspomnienia, którego mogłabym się uciepić. Nawet nie wiedziałam, jak wygląda.

Nagle wyrzuciłam wszystko z siebie, całą historię. O tacie, który mojej mamie napisał na rachunku „wspaniale, że jesteś”, który mnie uznał, a potem zniknął, który mnie nie znał i zdawał się mną w ogóle nie przejmować i prawdopodobnie dawno już o mnie zapomniał.

Wyczerpana przerwałam w pewnym momencie. Powiedziałam nawet, że potajemnie nazywałam siebie Lilli Bergmann i że moje ręce przypominały dłonie taty.

- No, w takim razie pora, byś go wreszcie zobaczyła, Lilli - powiedziała prababcia Annaleny i naląła sobie drugi kieliszek wina.

Spojrzałam na nią bez słowa.

- Jasne, pójdziemy zaraz do twojej mamy i spytamy, czy nie zna jego adresu - zaproponowała przyjaciółka.

- A jeśli nie zna? - spytałam cicho.

- To zna kogoś, kto ma jego adres - odparła energicznie starszka. - Lilli, życie trzeba chwytać w swoje ręce, inaczej nigdy do niczego się nie dojdzie!

Milczałam, bo nie wiedziałam, co mam odpowiedzieć. Pragnęłam tylko, by prababcia Annaleny była moją prababcią i bym miała do niej prawo. Prawo siedzieć tutaj z nią, prawo, by do niej zadzwonić, kiedy chcę. Naturalnie, nie miałam jednak takiego przywileju.

Kiedy zebrałyśmy się do powrotu, na dworze padał śnieg z deszczem. Szłyśmy z Annaleną, nie odzywając się nawet do siebie, na przystanek autobusowy.

*

Zastałyśmy moją mamę w dużym pokoju. Skoncentrowana budowała „dom”, nad którym pracowała przez ostatnie tygodnie. Z tego powodu notorycznie zapominała kupić naszemu kotu Gandalfowi coś do jedzenia, zapłacić rachunki i ugotować obiad. Wszystkie obowiązki spadły na mnie i na Bernarda, dopóki nie ukończyła projektu.

Dom” mierzył dwa metry wysokości i dwa szerokości, jak domek dla lalek. Miał wszystko, co znajdowało się w normalnym domu: pokoje, schody, ubikację, kuchnię, kredens, pralkę, telewizor, kwiaty doniczkowe. Tylko że mieszkał tam bezrobotny, samotny,

nieszczęśliwy człowieczek, którego życie pozbawione zostało sensu i który oddał się nicnierobieniu i pograżał w beznadziejność. Można to było poznać po przepełnionych popielniczkach, stercie brudnych rzeczy do prania, zapchanej skrzynce na listy, której już nie opróżniał, i po kwiatach, które więdły. Wszystko w miniaturze zbudowała moja mama.

- No i co? Dobrze bawiłyście się u Marty? - spytała, rzucając tylko okiem w górę w naszym kierunku. Tak miała na imię prababcia Annaleny.

Spojrzałyśmy po sobie, a przyjaciółka trąciła mnie znacząco. I zrobiłam to. Zapytałam o ojca.

- Gdzie on jest? Co o nim wiesz? Jaki ma zawód? Jak wygląda? Gdzie go znajde?

Podniecona oparłam się o framugę drzwi. Gdyby nie muzyka, zaległaby grobowa cisza.

Pytanie „Gdzie go znajde?” dźwięczało mi wciąż w uszach jak echo. Zdawało mi się, że mama też cały czas je słyszy. Nagle wydała się bardzo spięta. Machinalnie wstała i wyłączyła wieżę. Teraz zrobiło się naprawdę cicho. Przeształam nerwowo z nogi na nogę.

- Jasne, masz prawo poznać całą historię - mama wypowiedziała te słowa w panującą wokół ciszę. - On... on jest w końcu twoim... ojcem.

Jej głos zabrzmiał dziwnie zatroskanie. Zmarszczyłam czoło.

- Po prostu powiedz mi wreszcie - poprosiłam szeptem.

Mama skinęła głową, potem opowiedziała mi o Paulu Bergmannie. Poznała go na jakimś przyjęciu, a że rzucił ją właśnie przyjaciel, cieszyła się z tego spotkania. Był przystojny - wyglądał jeszcze przystojniej, kiedy się śmiał. I miał piękne, szczupłe dłonie.

- Przegadaliśmy całą noc, choć przyjęcie dawno się skończyło. Spacerowaliśmy brzegiem Renu i przyglądaliśmy się, jak powoli robi się jasno. Dygotałam z zimna, Paul też. Objął mnie ramieniem, poszliśmy na moguncką starówkę do staromodnej kawiarenki na śniadanie. Byliśmy potwornie głodni i jedliśmy, aż nam się uszy trzęsły.

Pomyślałam o rachunku z kawiarni Korfmanna. Czy to był rachunek z tamtego ranka?

- Kilka dni później spotkaliśmy się ponownie - opowiadała mama, wpatrując się w śnieg z deszczem za oknem. - Przemierzyliśmy starówkę wzdłuż i wszerz, a Paul pstrykał mi zdjęcia. Wtedy zrobiłam mu też jedno. To jest to, o którym już ci mówiłam, Lilli.

Przytaknęłam głową.

- Tego wieczoru spaliśmy ze sobą. Paul niedawno ukończył dziewiętnaście lat, ja miałam już dwadzieścia jeden.

Mama zamilkła na chwilę.

Patrzyłam na nią, aż nagle odwzajemniła moje spojrzenie.

- Tak, a później okazało się, że jestem w ciąży - dokończyła z ociąganiem.

Annalena uśmiechnęła się do mnie, ale ja ponownie spojrzałam na mamę.

- A potem? - spytałam ostrożnie, gdyż mama znów zrobiła przerwę. Czułam, że szuka odpowiednich słów, bo teraz przyszła kolej na najbardziej nieprzyjemną część tej historii.

- Paul był za usunięciem ciąży - powiedziała szybko. - Nie chciał mieć jeszcze dziecka.

Milczałam.

- Ale ja chciałam to dziecko.

„To dziecko”! Tym dzieckiem byłam przecież ja... Mama szybko dokończyła swą relację. Opowiedziała, jak mój ojciec nagle zaczął sądzić, że dziecko mogło być przecież kogoś innego. I jak wkrótce po tym potajemnie przeprowadził się nie pozostawiając żadnego adresu. I jak długo trwało, zanim wreszcie odnalazł go urząd ds. młodzieży. Uplętnęło już sporo czasu od moich narodzin, a tatę trzeba było zmusić do tego, by poddał się badaniu krwi, i tym samym udowodnić, że jest on rzeczywiście moim ojcem.

W pokoju znów zapadła głucha cisza. Bierna, otepiałym wzrokiem wpatrywałam się w stojący na podłodze domek.

Oszczędziłam sobie pytania, czy tato faktycznie nigdy mnie nie widział.

- Przykra sprawa - odezwała się Annalena. Nikt jej nie odpowiedział.

- Myślę, że nadal mieszka w Moguncji - powiedziała mama. - Pracuje jako fotografik.

Wciąż milczałam.

- W tym czasie ożenił się... i ma dwoje dzieci. Wyczułam po jej głosie, że bardzo ostrożnie dobiera słowa.

Przytaknęłam szybko głową, gdyż o tym już wiedziałam.

- Lilli, on był wtedy taki młody i pewnie przestraszył się odpowiedzialności. Zrozum, prawie się nie znaliśmy i...

- Ale teraz nie jest już za młody! - parsknęłam z narastającą złością.

Zatrzasnęłam za sobą drzwi i uciekłam do swojego pokoju.

*

Dwa dni później mama podsunęła mi rankiem karteczkę. Napisała na niej nazwisko ojca i jego adres w Moguncji.

- Dziękuję - powiedziałam prawie szeptem.

- Możemy pojechać tam razem, jeśli chcesz - odparła tak samo cicho. To było trochę nedorzeczne, że stojąc w naszej przytulnej kuchni, tak cicho i nieśmiało do siebie

mówiliśmy.

Złożyłam karteczkę i wsadziłam do kieszeni spodni.

- Bernard też mógłby z nami pojechać, jeśli byś chciała - Kontynuowała, stawiając miszkę mleka dla kota.

Choć lubiłam Bernarda, zaprzeczyłam ruchem głowy. Był wesoły i nie widziałam nic złego w tym, że przyjaźnił się z mamą i tak często u nas bywał. Miał już ponad czterdziestkę i był troszkę niższy od mojej mamy, a troszkę wyższy ode mnie. Poza tym miał wesołe, zielonoszare oczy okolone zmarszczkami, które zrobiły mu się od śmiechu. Prawie zawsze był w dobrym humorze.

- Jak on właściwie wygląda? - zapytałam, unikając wymówienia zarówno nazwiska ojca, jak i określenia go mianem „mój tato”.

Mama z rezygnacją opadła na taboret. Powoli sięgnęła do pudełka po suchą kromkę chleba razowego.

- Był bardzo wysoki, miał gęste, ciemne włosy, oczy w kolorze bursztynu, wąski, prosty nos, przylegające płatki uszu i ładnie uformowaną górną wargę - wyglądał mniej więcej tak...

Jednym pociągnięciem narysowała palcem na szybie okiennej linię, na którą padało teraz poranne światło. Wpatrywałam się intensywnie w ten rysunek.

- Czy wtedy naprawdę byłaś w nim zakochana? - spytałam.

- Nie jestem do końca pewna - odparła mama po krótkiej chwili wahania.

- Ale to się chyba wie - powiedziałam.

- Zanim pojawił się twój tato, przez dwa i pół roku miałam chłopaka. Myślałam wtedy, że naprawdę go kocham, ale on zerwał ze mną definitywnie, a ja poczułam się urażona i zostawiona na lodzie. Mimo to nie byłam głęboko nieszczęśliwa. Potem spotkałam twojego ojca i tym razem był to znowu inny odcień miłości. Upajałam się tym stanem zakochania. Niestety, później Paul zachował się jak ostatni drań i...

Mama zmasowała linię na szybie.

- I...? - powtórzyłam za nią.

- I wtedy pojawiłaś się ty. Pamiętam naszą pierwszą wspólną przejażdżkę rowerem. Byłaś jeszcze mała, posadziłam cię więc w rowerowym foteliku, a ty po raz pierwszy otoczyłaś mnie swoimi ramionkami, by nie spaść. I wtedy wiedziałam, że to również jest szalona miłość! Być może najwspanialsza ze wszystkich!

Mama położyła rękę na mojej. Chwilę siedziałyśmy tak w milczeniu, później musiałam zbierać się do szkoły.

- Zaczekaj, Lilli - powiedziała, kiedy wstałam. - Co takiego?

- Nie idź tam sama, kiedy się zdecydujesz pójść. Nie odpowiedziałam. - Pójdźmy tam razem, proszę.

Wzruszyłam ramionami i pomyślałam, że byłoby o wiele łatwiej, gdyby moim ojcem był Bernard.



Kilka dni później wiedziałam już, że chcę mieć to za sobą tak szybko, jak tylko możliwe.

„Dziś po południu jadę do mojego taty. Pojedziesz ze mną?”, napisałam na skrawku papieru i podsunęłam go Annaleni na matematyce.

Przyjaciółka rzuciła okiem na liścik i uśmiechnęła się. Jednocześnie skinęła potakująco głową.

„Przepadnie mi balet”, odpisała.

„A mnie lekcja gry na wiolonczeli”, napisałam i wzruszyłam ramionami.

Po południu spotkałyśmy się na dworcu. Przyjaciółka wyciągnęła z torby komórkę i najpierw odwołałyśmy jej zajęcia, a później moje.

- A więc w drogę - powiedziała Annalena, kiedy wsiadałyśmy do autobusu, który miał nas zawieźć na drugą stronę Renu, do sąsiedniej Moguncji.

- Trudno uwierzyć, że twój tato mieszka tak blisko, a mimo to ani razu się nie pokazał - skwitowała przyjaciółka, kręcąc z dezaprobatą głową. Jej ojciec mieszkał o wiele dalej, a jednak co tydzień przyjeżdżał, by ją odebrać ze szkoły.

Milcząc, patrzyłam przez okno na mijane domy.

- Jaki on właściwie jest i jak wygląda? - zastanawiała się Annalena kilka przystanków dalej.

Nie odpowiedziałam, gdyż nagle poczułam pustkę w głowie. Głos przyjaciółki wydawał się przytłumiony, jakby docierał do mnie z daleka. Wsunęłam zimne ręce do kieszeni dzinsów.

Pierwszy raz moja mama nie miała pojęcia, gdzie jestem i dokąd jadę.

Był środek stycznia. Na dworze słońce świeciło tak, jakby już wkrótce miała nastać wiosna. Za dwa miesiące kończyłam czternaście lat. „Czternaście... a mój tato jeszcze nigdy mnie nie widział!”

Wysiadłyśmy na dworcu w Moguncji. Tutaj musiałyśmy się przesiąść do drugiego autobusu, ponieważ tato mieszkał na przedmieściach.

- Jesteś strasznie blada - zauważyła Annalena, kiedy siedziałyśmy już w autobusie. Łagodnie pogłaskała mnie po ramieniu.

- Może nie powinnyśmy tam jechać... - Od momentu odwołania lekcji gry na wiolonczeli po raz pierwszy zdołałam wydobyć z siebie głos. Zabrzmiął on cienko i żałośnie.

Annalena pokręciła głową.

- Pomyśl o tym, co powiedziała moja prababcia: los trzeba brać w swoje ręce, inaczej nigdy do niczego się nie dojdzie!

Przyjaciółka objęła mnie ramieniem.

- Może w ogóle go tam nie ma - mruknęłam już bardziej opanowana, bo miałam przy sobie Annalenę.

Po przejechaniu trzech przystanków musiałyśmy wysiąść. Drżącymi palcami rozłożyłam karteczkę, na której mama zapisała mi adres taty.

Starszy pan ze starym jamnikiem wskazał nam drogę.

- To już niedaleko - dodał. Miał rację: po kilku minutach doszliśmy do szarego parterowego domu.

Chwilę przyglądałyśmy się budynkowi. Otoczony był niedużym, nędznym teraz w zimie, ogródkiem. Ale pośrodku błotnistej trawnika leżała kolorowa, plastikowa piłka. Miałam wrażenie, że wrogo odwzajemnia mój wzrok. Oczywiście, to była bzdura, w końcu piłka nie mogła patrzeć, jednak z całą pewnością należała do dziecka mojego ojca!

- Mam zadzwonić, czy ty chcesz? - usłyszałam, jak z oddali, głos przyjaciółki. Z trudem oderwałam wzrok od piłki i spojrzałam na dzwonek, który wskazała Annalena.

„Paul i Anna Bergmann” - widniało na małym, owalnym szyldzie. Przełknęłam ślinę i przeczytałam kilkakrotnie napis.

- Ty zadzwoń - powiedziałam cicho.

Annalena przytaknęła i nacisnęła guzik. Usłyszałyśmy, jak w domu rozlega się dzwonek.

- Chodźmy stąd. Chyba jednak nie chcę tu wchodzić - szepnęłam i w tym samym momencie poczułam, że zaczynam drżeć. Właśnie wtedy otworzyły się drzwi wejściowe, na progu stanęła kobieta i spojrzała na nas.

Milcząc patrzyłyśmy na nią.

- Słucham? W czym mogę wam pomóc? - zapytała przyjaźnie.

Kątem oka pochwyciłam wymowny wzrok Annaleny, jednak nie byłam w stanie odezwać się. Ta kobieta musiała być żoną mojego taty. „Anna Bergmann”. Anna Bergmann i Paul Bergmann. A Lilli Bergmann? Nie, ja byłam Lilli Milewski...

- My do Paula Bergmanna - powiedziała zamiast mnie Annalena. - Czy jest w domu?

Kobieta przekroczyła próg.

- Nie, mąż jeszcze nie wrócił - odparła zdziwiona. - A co was do niego sprowadza?

Przyjaciółka leciutko szturchnęła mnie w bok, ale nie potrafiłam wydobyć z siebie ani

słowa. Patrzyłam tylko na nieznajomą, na więcej nie mogłam się zdobyć. Była ładna, ale nie ładniejsza niż moja mama. Poza tym wyglądała na tyle samo lat, co mama, i miała brązowe, luźno upięte włosy. Dlaczego tato kochał ją, a nie moją mamę? Powędrowałam wzrokiem ku kolorowej piłce leżącej na trawniku. Dlaczego mój tato dla dzieci tej kobiety był tatą, ale dla mnie nie?

Nagle stało się coś nieoczekiwanego.

- Jesteś może... Lilli? - padło ostrożne pytanie, skierowane do Annaleny.

Na dźwięk swojego imienia wzdrygnęłam się.

- Nie, to jest Lilli - odparła przyjaciółka.

Żona mego ojca zamilkła. Stałyśmy tak bez słowa przy furtce ogrodowej. „Co się teraz stanie?” Spojrzeniem błędziłam ponad krzakiem, rosnącym w rogu ogrodu.

- Cóż... ale niespodzianka - powiedziała w końcu kobieta i zaprosiła nas do środka. Zostałyśmy poczęstowane colą. W salonie bawił się chłopczyk, na kocu zaś siedziała malutka dziewczynka.

- Mówcie do mnie po prostu Anna - zaproponowała. Potem wskazała na chłopca. - To jest mój syn, Knut, a to Zoe, moja córeczka.

Bez słowa przyglądałam się malcom. A więc to one, pozostałe dzieci mego taty.

Chłopczyk uśmiechnął się do nas i chwilę później wybiegł z pokoju, natomiast mała wdrapała się na kolana Anny. Rozejrzałam się po obcym pomieszczeniu. Panował w nim o wiele większy porządek niż u nas. Właśnie usiłowałam sobie wyobrazić, jak by wyglądało, gdyby stało tutaj kilka zwariowanych, dużych konstrukcji mamy, kiedy otworzyły się drzwi wejściowe. Wstrzymałam oddech, gdy żona mego taty powiedziała:

- Paul, masz gości. Lilli przyjechała...

Po tych słowach wyszła z dzieckiem z pokoju, zostawiając nas we trójkę.

Siedziałyśmy z Annaleną przy długim wąskim stole i spoglądałyśmy w stronę drzwi. Czułam mocne uderzenia serca i jak zahipnotyzowana nie odrywałam wzroku od swojego ojca. Był wysoki, stał w progu i również mi się przyglądał. Nie spojrzał na Annalene, widziałam to dokładnie. O, nie, jego wzrok od razu padł na mnie.

Miał ciemne, krótkie włosy, ciemne oczy i poważny wyraz twarzy. W każdym razie zrobił poważną minę. Zdjął z ramienia czarną torbę i powoli opuścił ją na podłogę.

- To ci dopiero niespodzianka... - wydusił w końcu i usiadł obok nas. Znowu przyglądaliśmy się sobie.

Pomyślałam o karteczce, na której kiedyś napisał, jak to wspaniale, że istnieje moja mama, i spróbowałam uśmiechnąć się. Ale nie udało mi się. Jemu też nie.

Minęła cała wieczność, nim wreszcie otworzył usta.

- Lilli... - zaczął i urwał.

To było dziwne uczucie usłyszeć z jego ust swoje imię. Mimo to skinęłam potakująco głową.

- Ładna jesteś - to były następne słowa. Stukał koniuszkami palców o ciemny blat stołu. Przyjrzałam się jego dłoniom. Rzeczywiście przypominały kształtem moje. Patrzyłam na jego usta i usiłowałam sobie wyobrazić, jak całował nimi mamę.

Później spojrzałam w jego ciemne oczy, a on niepewnie odwzajemnił mój wzrok.

- Dziwna sytuacja - zauważył i przestał wreszcie bębnić w stół. - Czy... czy twoja mama wie, że tu jesteś?

Pokręciłam przecząco głową.

- Hm - westchnął ojciec, po czym wstał i zaczął chodzić po pokoju tam i z powrotem, jak schwytyany zwierz. Cztery kroki do okna i znów cztery kroki do stołu. Na ścianie przy oknie wisiały w ramach dwie czarno - białe fotografie. Jedna przedstawiała mojego przyrodniego brata, druga - małą siostrę przyrodnią. Przypatrywałam się zdjęciom.

- Tak, wiem, że jestem dla ciebie beznadziejnym ojcem - odezwał się nagle tato, zatrzymując się na środku pokoju.

Spojrzał na mnie, a ja tylko zerknęłam w jego stronę. Najchętniej rozplęnąłabym się w powietrzu.

- Praktycznie nic o sobie nie wiemy - kontynuował nerwowo, zapalając papierosa.

Tym razem potaknęłam.

- Mój Boże, wszystko wtedy tak głupio się potoczyło... Byłem za młody... Miałem życie jeszcze przed sobą, nic wyobrażałem sobie, żebym dał się uwiązać. Potrzebowałem... wolności, do diabła!

Wciąż bez ruchu siedziałyśmy przy stole, aż w pewnej chwili tato przysiadł się do nas. Nagle stał się bardziej obcy niż w moich wyobrażeniach. W nich wprawdzie nie miał konkretnej twarzy, ale mimo to należał do mnie. Teraz miał twarz, jednak czułam, że on nawet w małej części nie należy do mnie. Przed wieloma laty uznał mnie wbrew swojej woli, ale nic więcej nas nie łączyło.

- Pewnie masz do mnie żal, prawda?

Zaprzeczyłam i w jednej chwili poczułam się bardzo zmęczona. Miałam wrażenie, że słyszę, jak ojciec odetchnął, ale prawdopodobnie tylko mi się zdawało.

- Jak się wiedzie twojej mamie? - spytał zaraz po tym.

- Dobrze - odpowiedziałam.

- Znakomicie - skwitował i spojrzał na Annalene. - A ty jesteś przyjaciółką Lilli?

- Tak - przytaknęła.

- Do której klasy chodzicie?

- Do siódmej - Annalena odparła za mnie, gdyż ja milczałam.

W tym momencie otworzyły się drzwi i do pokoju wtargnął synek taty.

- Tatusiu, tutaj jesteś! - zawołał i wdrapał się na kolana ojca. - Chcę się z tobą bawić!

Pobawisz się ze mną?

- Pst, Knut, nie mam teraz czasu - odparł i podniósł malca z kolan.

Przyglądałam się obu i zrobiło mi się smutno. Nie należałam do tego świata, pojęłam to w jednej chwili.

- Chcesz już iść? - szepnęła do mnie Annalena, podczas gdy ojciec wynosił malucha z pokoju.

Wzruszyłam ramionami, ale zanim zdążyłam odpowiedzieć, tato był już z powrotem.

- Lilli, gdyby coś takiego przytrafiło mi się teraz, zachowałbym się inaczej. Ale wtedy...

Ojciec stał przede mną z opuszczonymi rękoma. Jak bym się czuła, gdyby mnie teraz objął? Byłam jednak pewna, że tego nie uczyni.

- Jestem fotografikiem - powiedział bez związku i podniósł czarną torbę z podłogi, by postawić ją na półce. - W środku mam aparat fotograficzny - wyjaśnił. - Jest dla mnie jak narkotyk. Bez niego nie ruszam się z domu.

Obie milczałyśmy. Aby opanować drżenie rąk, w kieszeni dżinsów zacisnęłam dłoń w pięści. Wyczerpana nadmiarem emocji, przyjęłam na krzesło wygodniejszą pozycję.

- Czy kiedykolwiek pomyślałeś o mnie? - spytałam nagle nieśmiało.

Tato spojrzał na mnie.

- Oczywiście - odparł szybko. Tak szybko, że w pierwszej chwili pomyślałam, że kłamie, jednak coś w jego wzroku kazało mi uwierzyć w te słowa.

- Często myślałem o tobie i twojej matce, ale od początku, od kiedy dowiedziałem się, że jesteś w drodze, zachowywałem się tak głupio, że potem nie wiedziałem, jak to wszystko odwrócić, jeśli rozumiesz, co mam na myśli.

Nie odpowiedziałam.

- Kiedy na świat przyszedł najpierw Knut, a po nim Zoe, wyrzuty sumienia nie dawały mi spokoju...

- To dlaczego nie odezwałeś się do nas? - zapytałam cicho, tak cicho, że nie byłam pewna, czy w ogóle mnie usłyszał.

Jednak usłyszał.

- Czy byłoby dobrze, gdybym zjawił się u was, kiedy miałaś osiem lub dziewięć lat, kiedy już i tak było za późno, by nawiązać prawdziwy kontakt z tobą, jak ojciec z córką? Twoja matka na pewno by tego nie chciała...

Patrzyliśmy sobie teraz prosto w oczy, mimo to ojciec wydawał mi się daleki i obcy. On, jego dom, żona i jego dzieci. Nagle przypomniałam sobie, co mama powiedziała do Bernarda podczas rozmowy telefonicznej: tato nigdy nie dał na mnie ani grosza.

O tym jednak nie mogłam z nim mówić.

Rozmawialiśmy jeszcze chwilę, a później tato poprosił mnie o adres i zanotował nasz numer telefonu.

We trójkę podeszliśmy do drzwi wyjściowych.

- Lilli, odezwę się do ciebie - powiedział. - Obiecuję.

Chciałam w to wierzyć, lecz miałam wątpliwości, czy dotrzyma słowa. Stałam smutna pośrodku tego obcego domu, w którym mieszkał mój ojciec. Zdałam sobie sprawę, że nic dla niego nie znaczę.

Dlaczego posiadał piękny dom z ogrodem, podczas gdy ja z mamą mieszkaliśmy w małym, trzypokojowym mieszkanku w dziesięciopiętrowym bloku w centrum miasta?

Ponownie zerknęłam na dwie fotografie jego dzieci. Przyszły mi na myśl zdjęcia, które odłożyłam dla niego w dużej brązowej kopercie. Wciąż jeszcze leżały w moim pokoju, w szufladzie biurka. Nagle, w porównaniu z tymi elegancko oprawionymi zdjęciami wiszącymi na ścianie obok okna, wydały mi się nędzne i bezwartościowe.

W tym momencie zadzwonił telefon.

- Przepraszam na chwilę - powiedział nerwowo tato, przeszedł z powrotem przez salon i podniósł słuchawkę. Jednak ta „chwilka” coraz bardziej się przedłużała, a my stałyśmy wyczekująco pod drzwiami.

W końcu moja cierpliwość się wyczerpała. Nie zastanawiając się nad konsekwencjami, wyciągnęłam z regału cichcem czarną torbę z aparatem fotograficznym, chrząknęłam i rzuciłam półgłosem:

- Niestety, musimy już iść.

- Ach, tak. Do zobaczenia, dziewczynki! - odkrzyknął tato i skinął głową przeproszająco, nie zauważywszy, co zabieram ze sobą z jego domu.

- Zwariowałaś?! - zaatakowała mnie z przerażeniem Annalena, kiedy znalazłyśmy się już na dworze.

Wzruszyłam ramionami.

- Przez lata nie dał na mnie ani grosza - powiedziałam zdenerwowana. W jednej chwili odzyskałam mowę.

Z bijącym sercem wracałam do domu. Dopiero późnym wieczorem powiedziałam mamie, gdzie byłam.

Tego wieczoru zjadłyśmy z mamą całą szklanek kolorowych koralików do dekorowania tortów. Jemy je zawsze wtedy, gdy świat zaczyna nam się walić, obojętnie z jakich powodów.

W naszym zabałaganionym dużym pokoju długo siedziałyśmy obok siebie między dziełami mamy, wsłuchane w głośną muzykę.

- Czuję się jakaś taka pusta w środku - powiedziałam i nagle rozplakałam się okropnie.

Następnego dnia, kiedy byłam w szkole, zadzwonił tato Zauważył zniknięcie aparatu fotograficznego i widać przyszło mu do głowy podejrzenie, że to ja jestem główną sprawczynią.

Gdy po południu wróciłam do domu, mama spojrzała na mnie z powagą. Była blada.

- Możesz zatrzymać aparat, Lilli - powiedziała. - Szanuj go. Twój ojciec powiedział, że to najdroższy aparat, jaki kiedykolwiek miał.

Skinęłam głową, poszłam do swojego pokoju i wyciągnęłam ciężki czarny aparat fotograficzny z czarnej torby. Ostrożnie spojrzałam przez obiektyw. Z otwartego okna zaczęłam obserwować w ten sposób niebo.

Nagle znów pojawiły się wrony, cała chmara. Zataczały czarne kręgi po jasnym niebie. Zrobiłam kilka zdjęć na rozpoczętym filmie taty. Wrony krążyły tam i z powrotem, aż rozleciały się na wszystkie strony jak popiół na wietrze.

Ostała się tylko jedna jedyna, która powoli też odfrunęła.

Ostrożnie robiłam jej zdjęcia aparatem - jedynym prezentem, który do tej pory otrzymałam od swojego taty.

W ciągu następnych dni rodzice kilka razy dzwoniли do siebie. Podśluchałam, że czasami się kłócili, głos mamy brzmiał niekiedy ostro, innym razem zaś całkiem normalnie, a raz nawet zaśmiała się. Parę dni później pokazała mi wyciąg z jej konta bankowego - wynikało jasno, że tato wreszcie zaczął płacić na mnie alimenty.

- Ten świstek papieru powinnam właściwie oprawić w ramki i powiesić sobie na ścianie - mruknęła z zadowoleniem i wróciła do pracy nad projektem.

Dałam do wywołania film i byłam bardzo zawiedziona, kiedy kilka dni później trzymałam w ręku gotowe już zdjęcia. Żadne z ujęć wron nie wyszło, a zrobiłam ich z siedemnaście. Na wszystkich widać było tylko szare niebo i ciemnoszare cienie. Zdjęcia taty też mnie rozczarowały. Dziewiętnaście ujęć ulicy, na której mieszka.

- Co on właściwie sobie myślał? - zastanawiała się Annalena, która towarzyszyła mi z Wiktoria w wyprawie do fotografa.

- Dziewiętnaście razy to samo ujęcie - powiedziała teraz Wiktoria, kręcąc głową, i znudzona odłożyła zdjęcia ulicy na moje biurko.

Przyjaciółki odwiedziły mnie tego popołudnia, ponieważ chciałyśmy się razem zastanowić nad zadaniem domowym z wiedzy o sztuce. Nauczycielka oświadczyła przed kilkoma dniami, że w drugim semestrze czeka nas tylko jedno zadanie domowe.

- Macie zatem na to prawie pięć miesięcy - wyjaśniła. - Spróbujcie wniknąć we własną duszę i stworzyć coś indywidualnego, wyjątkowego. Coś, co odzwierciedla wasze marzenia, myśli, obrazuje wasze życie. Możecie coś namalować, narysować, zagrać na instrumencie lub wystawić sztukę teatralną.., Co tylko wam przyjdzie do głowy.

Reakcja klasy na taką formę zadania domowego była różna. Niektórzy uznali to za świetny pomysł, a inni patrzyli przed siebie znudzeni, bezradni i bez cienia zapału. Wyobraziłam sobie dzieła sztuki piętrzące się w naszym domu, Wiktoria zdawała się myśleć o tym samym.

- Ty to masz dobrze, możesz złapać jednego z dziwolągów swojej mamy i wyładować w szkole. Pani Bartolotti nigdy się nie połapie, a ty na pewno dostaniesz dobrą ocenę - szepnęli mi na ucho.

Pokręciłam przecząco głową. Po pierwsze, nauczycielka była wierną fanką mojej mamy i nie opuszczała żadnej jej wystawy, po drugie, te dzieła nie miały ze mną nic wspólnego. Nie byłam taka żywiołowa, pełna ekspresji i zwariowana jak mama.

Siedziałyśmy teraz we trójkę w moim pokoiku i rozmawiałyśmy o zadaniu. Mama była jeszcze w szpitalu, w mieszkaniu więc panowała przyjemna cisza.

- OK, wiem już, co zrobię - odezwała się Annalena. - Napiszę sztukę o dziewczynie, która mieszka w centrum Nowego Jorku, a jej mama pracuje w World Trade Center. Akcja rozgrywa się 11 września 2001 roku. Dziewczyna siedzi sama w domu, śledzi w telewizji całe to szaleństwo, dziejące się na zewnątrz, i czeka spanikowana, aż wróci do domu jej mama - która może jest już martwa... Taki monodram, rozumiecie?

Annalena spojrzała pytająco najpierw na mnie, a później na Wiktorię.

- Całkiem niezły pomysł - stwierdziła z uznaniem Wiktorii. Potaknąłam głową i przypomniałam sobie, jak to było, kiedy zdarzyła się ta katastrofa i Annalena przez cały dzień bała się o swoją ciocię, której biuro mieściło się w pobliżu World Trade Center.

- A ja opowiem o Pani Strupp i Panu Kasimirze - powiedziała zaraz Wiktorii i rzuciła się na brzuch na łóżko. Wcisnęła sobie swoją poduszkę w kształcie serca pod brodę i uśmiechnęła się do nas. Pani Strupp i Pan Kasimir to były jej świnki morskie, którym zbudowała prawdziwy pałac, zanim zaczęła je w ubiegłym roku hodować. Z czasem w pokoju Wiktorii baraszkowała coraz bardziej powiększająca się rodzina świnek morskich, a przyjaciółka poświęcała im każdą wolną chwilę.

- A co ty przygotujesz? - spytała mnie Annalena. Bezradnie wzruszyłam ramionami i skubnęłam z dywanu kłaczek wełny.

Wieczorem opowiedziałam mamie o zadaniu domowym z wiedzy o sztuce. Pomysł z monodramem zdobył jej uznanie, ale projekt Wiktorii dotyczący świnek morskich przyjęła wzruszeniem ramion. Z tym się liczyłam. Mama uznawała tylko coś spektakularnego, „zrobić wrażenie” było jedną z jej życiowych maksym.

- A co ty przygotujesz? - spytała mnie tak samo, jak wcześniej przyjaciółka.

- Nie wiem - mruknęłam i poszłam do łóżka. Oparłam się o swoją poduszkę - serce i jeszcze raz zaczęłam oglądać dziewiętnaście zdjęć ulicy, które zrobił tato. Właściwie nie były one tak zupełnie jednakowe. Na niektórych widać było deszcz lub świecące słońce, na innych chodnik był mokry i mienił się albo z kolei ziemia była sucha i nieostra. Na jednym zdjęciu światło przedzierało się przez korony drzew - wyglądało to naprawdę ładnie.

Tato musiał fotografować zawsze z dokładnie tego samego miejsca.

Na jednym zdjęciu widać było starszą panią z tyłu, na drugim - staruszkę z przodu. Czy była to ta sama osoba? Czy mogę o to spytać tatę? Czy wolno mi ot tak zadzwonić do niego? Teraz? Natychmiast? Przecież jeszcze do siebie nie dzwoniłyśmy. Rzuciłam okiem na zegarek. Dochodziła już dziesiąta. Czy mogłam o dziesiątej wieczorem zatelefonować tylko

po to, by spytać, czy staruszka na zdjęciach, raz sfotografowana z przodu, raz z tyłu, jest tą samą osobą? To przecież idiotyzm i czyste szaleństwo! Zmarszczyłam czoło.

Zamiast tego mogłabym spytać, dlaczego właściwie robił zdjęcia tej ulicy. Jednak wtedy na pewno zaczęłyby rozmawiać ze mną o aparacie, który tak po prostu sobie zabrałam.

Nerwowo włączałam i wyłączałam lampkę nocną. „Nie, nie zadzwonię do niego. Zaczekam, aż sam się odezwie”.

Nie doczekałam się.

W następnych tygodniach również nie zadzwonił. Każdego dnia czekałam na telefon, choć nikomu o tym nie mówiłam. Dwa tygodnie później na dużej tablicy, którą pani Bartolotti powiesiła w naszej klasie, pod napisem „Prowizoryczny opis mojego projektu” wpisałam: „Zdjęcia mojej ulicy (Lilli Milewski)”.

I tak poznałam Dawida.

*

W księgarni kupiłam książkę o fotografowaniu i przeczytałam ją od deski do deski. Dokładnie obejrzałam różne obiektywy, które znalazłam w kieszeni czarnej torby, i poprosiłam w sklepie fotograficznym o wyjaśnienie, jak mam ustawiać aparat przy różnym świetle i na co oprócz tego zwracać jeszcze uwagę.

W lutowe popołudnie wyszłam z domu z aparatem w ręce i pomaszero wałam wzdłuż ulicy. Doszłam do jej samego końca, potem przeszłam na drugą stronę i ruszyłam z powrotem. Rozglądałam się na wszystkie strony, od czasu do czasu cofając się. Nasza ulica nawet w przybliżeniu nie była tak ładna, jak ta, na której mieszkał mój tato. Tutaj prawie nie było drzew, a fasady domów były niepozorne i monotonnaie szare.

Wróciłam pod swój dom. Oparłam się o niewielki mur, za którym stały pojemniki na śmieci, i spojrzałam przez obiektyw. Ujrzałam kawałek chodnika, ogołocone z liści drzewo, kota w szare pręgi, połowę frontowego okna naszej małej piekarni i fragment przystanku przed nią. Na ziemi leżała wkładka reklamowa gazety codziennej, a lutowy wiatr od czasu do czasu przerzucał jej kartki.

Zmarszczyłam czoło. Co powiedzieliby na to inni, gdybym na koniec roku zaprezentowała im około stu trzydziestu razy ten widok? To już nawet hodowla świnek morskich Wiktorii była bardziej interesująca.

Odgłos kliknięcia wyzwalacza zabrzmiał ładnie, choć zdjęcie, które miało dzięki temu powstać, zdawało się nie spełniać moich oczekiwań.

Może powinnam jednak przygotować inny projekt. Sprawdziłam godzinę. Było tuż po

wpół do trzeciej. Dwudziesty lutego. Jutro, dwudziestego pierwszego lutego, będę tutaj znów tuż po wpół do trzeciej. Spojrzałam pod nogi i dokładnie zlokalizowałam miejsce, w którym stałam.

Następnego dnia ponownie stanęłam w tym samym punkcie i zrobiłam zdjęcie.

Kolejnego dnia także.

A jeszcze następnego przełożyłam nawet spotkanie z Wiktoria tylko po to, by tuż po wpół do trzeciej pstryknąć zdjęcie. Tego dnia była ulewa, chodnik połyskiwał, pokryty rozpryskującymi się kroplami deszczu.

*

Piętnastego marca kończyłam czternaście lat. Tego dnia zrobiłam dwudzieste czwarte zdjęcie. Skontrolowałam ujęcie - zobaczyłam drzewo, które o tej porze roku zmieniało się dosłownie każdego dnia, i chodnik, na którym padające promienie słoneczne zostawiły kilka wąskich smug tańczących cieni. Widziałam wystawę piekarni i przystanek autobusowy z niebieską ławką. Ujrzałam też siedzącego na ławce chłopaka ze słuchawkami w uszach i z przewieszonym przez ramię zielonym plecakiem. Kołysał się w takt muzyki, którą tylko on mógł słyszeć. Nacisnęłam wyzwalacz i w tej samej chwili chłopak spojrzał na mnie.

Odwróciłam się szybko i poszłam do domu. Na górze czekali już: mama, Bernard, Annalena i Wiktoria.

Od taty przyszła do mnie kartka z Irlandii, gdzie właśnie spędzał urlop z rodziną. „Wszystkiego najlepszego z okazji urodzin!”, przeczytałam. „Kiedy wrócimy, masz od nas prezent, jaki tylko sobie zażyczysz!” Pod spodem widniał podpis: „Paul i Anna”.

Zmarszczyłam czoło. „Paul i Anna” brzmiało jakoś tak z dystansem. Ale „Tatuś” lub „Twój tato” też wyglądałoby dziwnie.

Ponieważ sama nie miałam dziadków, każdego roku dostawałam paczuszkę od prababci Annaleny. Tego roku przysłała mi album ze zdjęciami sławnych fotografików i dziesięć nowych filmów. Ostatnim razem, kiedy odwiedziłam ją z Annalena, zabrałam ze sobą aparat i zrobiłam obu zdjęcie.

- A więc co zażyczysz sobie od taty? - spytała mama, kiedy przeczytała widokówkę.

Wzruszyłam ramionami.

- Niech ci zapłaci za wywołanie filmów i odbitki - zaproponowała Wiktoria. - To może sporo kosztować.

- Niezły pomysł - powiedział Bernard i wręczył mi płytę CD zespołu No Angels, o której marzyłam.

Przez cały dzień świeciło słońce i, choć wiał wiatr, było dość ciepło. Późnym popołudniem wybraliśmy się wszyscy do pobliskiego parku. Annalena, Wiktoria i ja, przechodząc na skróty przez trawnik, szybko dotarliśmy do miejsca, gdzie w najdalszym kącie parku rosła nasza ulubiona lipa. Rozsiadliśmy się pod nią, tak jak to robiliśmy regularnie latem.

- Chciałabym, żeby już był lipiec lub sierpień - powiedziała Annalena, zapinając na guziki kurtkę.

Mama i Bernard, spacerując wytyczoną alejką, już nas zostawili w tyle.

- Coś wam zdradzę - odezwała się nagle Wiktoria i zniżyła głos. - Musicie mi jednak przyrzec, że nikomu tego nie powiecie. Ani w szkole, ani gdzie indziej...

Potaknęliśmy głowami.

- Mam chłopaka! - szepnęła przyjaciółka, po czym poderwała się z miejsca, rozwarła szeroko ramiona i zaczęła kręcić się w kółko jak fryga.

Annalena i ja aż zaniemówiliśmy z wrażenia. Wiktoria była od nas rok starsza, ponieważ w podstawówce powtarzała klasę, ale nie było widać między nami różnicy wieku.

- Naprawdę? - wykrztusiła w końcu Annalena. Wiktoria kiwnęła twierdząco głową, nie kryjąc zadowolenia, i z powrotem padła na trawę.

- Tak, ma na imię Henryk i od trzech tygodni mieszka w sąsiednim domu. Ma prawie siedemnaście lat...

- A... czy już się... całowaliście?

- Tak - odparła Wiktoria. - Kilka razy. Spojrzałyśmy z Annaleną po sobie.

- I jak było?

W tej samej chwili zawołała nas moja mama, poderwałyśmy się z miejsc i wróciliśmy wszyscy do domu. Tam zjedliśmy gorę pieczonych ziemniaków z kwaśną śmietaną, moje ulubione danie.

*

Następnego dnia o wpół do trzeciej miałam przed swoim obiektywem tylko chodnik, drzewo, wystawę piekarni, niebieską ławkę na przystanku i nic więcej. Żadnych ludzi, żadnego samochodu, żadnych walających się ulotek reklamowych, żadnego kota. Nie padało, ale też nie było słonecznie. Mimo to nacisnęłam wyzwalacz. Potem włożyłam aparat do futerału. Kiedy podniosłam głowę, po drugiej stronie ulicy dostrzegłam chłopaka, którego widziałam tu poprzedniego dnia. Miał tak samo jak wcześniej przewieszony przez ramię zielony plecak i, jak wcześniej, przyglądał mi się.

Pewnie myślał, że jestem stuknięta. Ciągłe tu wystawiałam i pstrykałam aparatem w pustkę. Szybko przeszłam przez skwerek przed naszym blokiem i zwiłam do domu.

Następnego dnia znów tam był. Kiedy wyszłam na dwór, stał tuż pod domem. Był prawie o głowę wyższy ode mnie i miał rudawe, zmierzwiłone włosy.

- Cześć - powiedział, uśmiechając się.

- Cześć... - odparłam.

Taksowaliśmy się wzrokiem. W okolicy było wielu głupich chłopaków, z którymi nie chciałam mieć nic wspólnego. Prawdziwe, prymitywne osiłki. Ale ten tutaj rudawy chłopak nie wyglądał ani trochę jak któryś z nich. Wręcz przeciwnie - był przystojny, naprawdę przystojny.

Dlaczego przyglądał mi się badawczo, tego nie wiedziałam.

- No i...? Zrobisz teraz znów zdjęcie? - zapytał w tym momencie. Nosił szerokie skate'owskie dzinsy i obszerną ciemnoniebieską bluzę. Na czole, pod potarganymi włosami, miał białą opaskę.

Skinęłam głową.

- Widziałem cię już kilka razy - powiedział. - Z pięć, sześć. Zawsze tu stoisz i robisz zdjęcia. Ciekaw jestem, co fotografujesz.

Objasniłam mu to w drodze do murku osłaniającego pojemniki na śmieci. Pstryknęłam swoje zdjęcie, podczas gdy chłopak stał obok i obserwował mnie.

- Kiedy skończysz w lipcu, pokażesz mi wszystkie zdjęcia? - spytał nagle.

- Jeśli chcesz - odpowiedziałam zaskoczona.

- Jasne, że chcę - odparł z uśmiechem. - Tak w ogóle nazywam się Dawid. A ty?

Tak się poznaliśmy. Dawid mieszkał na drugim końcu miasta, na pięknym przedmieściu.

- Dlaczego więc tak często tu bywasz? - zapytałam go zdziwiona.

- Tutaj mieszka mój nauczyciel gry na perkusji - wyjaśnił.

- A kapela, w której gram, ma próby w domu młodzieżowym tuż za rogiem.

- Grasz w zespole?

Dawid potwierdził ruchem głowy.

- Wcześniej grałem na flecie drewnianym, później na flecie altowym, a jeszcze później - na poprzecznym. Ale perkusja jest najlepsza!

Znów pojawił się na jego twarzy uśmiech, który potem nazywałam zawsze „uśmiechem Dawida”. Czynił on go jeszcze przystojniejszym. A Dawid uśmiechał się często.

*

Wiktoria miała Henryka, Annalena jeszcze z nikim nie chodziła, a ja miałam Dawida. Od dnia, w którym nagle pojawił się on pod moim domem.

- Jesteś w nim zakochana? - spytała mnie kiedyś Wiktoria.

Wzruszyłam ramionami.

- Ale przecież musisz wiedzieć, czy się w nim zakochałaś - dodała, a mnie przypomniało się mgliście, że coś podobnego powiedziałam do swojej mamy, kiedy rozmawialiśmy o moim ojcu.

Znów tylko wzruszyłam ramionami.

- Może - mruknęłam i pomyślałam o Dawidzie. Tak, kochałam go, bo lubiłam jego towarzystwo. Jednak w jakiś sposób kochałam także jego braci i jego mamę, tatę i dom, w którym wszyscy mieszkali.

- Całowaliście się już? - pytała dalej Wiktoria.

Zaprzeczyłam. Nie, nie całowaliśmy się jeszcze tak naprawdę. Tylko raz, kiedy się żegnaliśmy, Dawid pochylił się nagle nade mną, ale że nie zrozumiałam, o co mu chodzi, odwróciłam właśnie głowę w drugą stronę i jego pocałunek trafił w pustkę.

Urodziny Dawida, podobnie jak moje i mojego taty, przypadały w marcu. Skończył właśnie szesnaście lat, ale nie przeszkadzało mu to, że ja miałam dopiero czternaście.

- Najpierw myślałam, że jesteś starsza - wyznał mi któregoś dnia. - Kiedy obserwowałam cię z daleka. Ponieważ jesteś taka wysoka. Ale gdy zobaczyłem cię z bliska,

od razu wiedziałem, że musisz być ode mnie młodsza.

Robiłam zdjęcia Dawidowi, a on mnie. Był pierwszą osobą, której pozwoliłam wziąć do ręki aparat. Aparat, który ukradłam tacie, a później otrzymałam w prezencie. Opowiedziałam mu o tym i o innych sprawach związanych z moim ojcem.

Tato nadal nie dzwonił. O tym też rozmawiałam z Dawidem.

- Nie jest do ciebie przyzwyczajony - powiedział. - On ma swoje życie, a ty swoje. Nie zna jeszcze ciebie, a ty jego.

Zgodziłam się z nim, a ponieważ teraz miałam Dawida, fakt, że mój tato nie dzwonił, nie wydawał mi się już taki przykry.

- Ciągłe przesiadujesz z Dawidem - skarżyły się Annalena i Wiktoria. - Przecież to głupie. Zupełnie się zmieniłaś!

*

Dom, w którym mieszkał mój chłopak, znajdował się na ładnej ulicy. Rosło tu wiele drzew, których korony pokryły się teraz jasnozielonymi, wiosennymi listkami. Rodzice Dawida byli adwokatami - ich biura mieściły się na parterze, miały białe ściany i panowała w nich cisza oraz porządek. Na piętrze mieszkała rodzina: Dawid i jego bracia, Leon, Justus i Bastian. Każdy z nich miał własny niewielki pokój. Sypialnia rodziców znajdowała się wyżej, na poddaszu. Poza tym w domu również była przytulna bawialnia, a w piwnicy stała perkusja Dawida, na której zaczynał grać, gdy tylko rodzice zamykali po południu swoją kancelarię.

Dom był jednak troszeczkę za ciasny. Mimo to często w nim gościłam. Lubiłam, kiedy tato Dawida, który uwielbiał gotować, szykował posiłek dla swoich czterech synów, a teraz również i dla mnie. Lubiłam też przesiadywać w kuchni z mamą Dawida i rozmawiać z nią o codziennych sprawach, podczas gdy mój chłopak grał w piwnicy na perkusji.

- Prawie w ogóle nie ma cię w domu - często mawiała do mnie w tamtym czasie mama. - Zapominam, że mam córkę...

- Lilli, jesteś córką, którą zawsze chciałam mieć! - usłyszałam raz od mamy Dawida. - Niestety, rodziłam ciągle syna za synem.

Uśmiechnęłyśmy się do siebie, a ja poczułam nagle wyrzuty sumienia wobec mojej mamy. Ale ona miała przecież Bernarda i swoją sztukę. Jej wystawa domków odniosła wielki sukces. Zbudowała ich dziesięć, a pewnego dnia kupił je wszystkie kolekcjoner sztuki z Holandii i zapłacił mamie tyle, że niemal odjęło jej mowę z wrażenia. Tego dnia zaprosiła do „Luigiego” Dawida, jego rodziców i braci. Byłam z niej bardzo dumna i równocześnie

poczułam ulgę, że tak dobrze rozumiała się z jego rodzicami.

Nadeszło lato. Często siadaliśmy z Dawidem w parku pod lipą i rozmawialiśmy.

Czasami przychodził z nami jego najmłodszy brat, Bastian. Miał sześć lat i był mniej więcej tego samego wzrostu co synek mojego taty.

- Fajnie, że się poznaliśmy - powiedział raz Dawid i rzucił we mnie stokrotką.

Przytaknęłam, zerwałam koniczynkę i rzuciłam w niego.

- Czterolistna? - spytał i przyjrzał się jej. - Nie, trójlistna - odezwał się po chwili, chowając koniczynkę do kieszeni spodni. - Ale ponieważ jest od ciebie, i tak na pewno przyniesie mi szczęście.

Bastian biegał wokół nas, kopiąc piłkę.

Nagle Dawid nachylił się... poczułam jego usta na moich. Nie dotykając się rękoma, pocałowaliśmy się - całkiem delikatnie. Był to pierwszy pocałunek w moim życiu. Czułam się nieco dziwnie. Inaczej go sobie wyobrażałam. Ten pocałunek był tylko pocałunkiem, nie wywołał we mnie żadnych uczuć, żadnej miłości. Byłam nawet trochę rozczarowana i nie odważyłam się spojrzeć na Dawida.

- Lubię cię, Lilli - wyszeptał. - Naprawdę bardzo cię lubię. Położył swoją rękę na mojej. Przyjrzałam się im ostrożnie.

- Bliźniacze ręce - stwierdzał często, kładąc dłoń obok mojej. Tym razem położył na mojej. Miał rację, nasze dłonie wyglądały podobnie. Mieliśmy takie same wąskie palce, paznokcie o podobnym kształcie, podobne kciuki.

- Masz ręce muzyka - mówił mi wielokrotnie Dawid. - I jesteś muzykalna.

Muzyka pełniła ważną funkcję w jego życiu. Ja grałam jedynie na wiolonczeli, bo mama koniecznie chciała, żebym umiała grać na jakimś instrumencie. Ale Dawid kochał swoją perkusję, nawet swoje flety. Czasami na drewnianym flecie grał dla mnie całkiem wymyślone melodie, które nazywał „Melodiami Lilli”.

- Powiedz, że też mnie lubisz, bardzo lubisz - poprosił Dawid tamtego popołudnia w parku.

- Też cię lubię - powiedziałam cicho. - Bardzo cię lubię.

- Cieszę się - odparł tak samo cicho. - Cieszę się, że to powiedziałaś.

*

Dawid był wrażliwy i spokojny. Chociaż wcale na takiego nie wyglądał. Nosił szerokie skate'owskie spodnie, do tego obszerne bluzy. Często jeździł na deskorolce i prawie zawsze wkładał na czoło opaskę. Ale mimo to był wrażliwy i spokojny. Poza chwilami, gdy

grał na perkusji. Wtedy z niespożytą energią walił w talerze, aż pot spływał mu z czoła.

Kiedy wiosna powoli miała się ku końcowi, a powietrze w mieście pachniało już nadchodzącym latem, zapisałam w moim dzienniku wszystko to, co wiedziałam o Dawidzie.

Ile lat mieli jego bracia; że Bastian był jego ulubionym braciszkiem, że jego szkolna koleżanka podkochiwała się w nim, że Dawid w przyszłości chce studiować na Akademii Muzycznej, że ma przyrośnięte płatki uszu i brodawkę na lewym kciuku. Że jego tato robił najlepsze w mieście naleśniki, że mama czasami zachowywała się jak pracoholiczka, a czasami całymi dniami siedziała przygnębiona, że Dawid ładnie pachniał i że czułam się niemal szczęśliwa, kiedy podczas spaceru nasze ramiona przypadkowo się zetknęły. To, że uśmiech Dawida trudno było uchwycić, robiąc zdjęcie aparatem, i dlatego zawsze trzeba było szybko pstrykać, i że mimo to Dawid na większości zdjęć ma poważną minę. Że z napięciem czekał na moje zdjęcia ulicy. Że interesował się także sztuką Annaleny o 11 września i że przynosił czasami ze swego ogrodu ziele mniszka dla świnek morskich Wiktorii. To, że czasami całymi dniami był zajęty, gdyż jak szalony grał na perkusji, że lubił chodzić do opery i na koncerty muzyki poważnej, ale słuchał też chętnie muzyki punkowej, że nigdy się nie kłóciliśmy, że czasami mu się śniłam, ale nigdy nie odważył się opowiedzieć mi tych snów - i jeszcze więcej.

- Zakochał się w tobie - mówiła często Wiktoria. - To widać jak na dłoni.

Nie byłam jednak tego taka pewna. Od czasu przelotnego pocałunku w parku nie pocałował mnie więcej.

Nawet moja mama uważała, że Dawid się we mnie zakochał.

- Lilli - powiedziała pewnego wieczoru, odkładając pędzel. - Myślę, że powinnyśmy ze sobą porozmawiać.

Po jej głosie od razu poznałam, o czym będzie ta rozmowa. O Dawidzie i o mnie, o seksie i zabezpieczeniach - o tym, czy chcemy pójść ze sobą do łóżka.

- Między mną a Dawidem nic takiego nie ma - oznajmiłam szybko, ale mama zrobiła sceptyczną minę, wzięła szklankę ze słodkimi koralikami i postawiła ją między nami na kolorowej sofie.

- Tego nigdy nie można wiedzieć - odparła, a potem zaczęła mówić o tym wszystkim, o czym czułam, że powie.

- Jasne, mamo - powiedziałam na koniec i odetchnęłam, gdyż rozmowa okazała się mniej niezręczna niż się obawiałam.

W tym czasie wypstrykałam osiem filmów. Trzymałam je w najwyższej szufladzie biurka. Niżej wciąż leżała brązowa koperta, na której w ubiegłym roku napisałam „Lilli”.

Dzisiaj mieliśmy z Dawidem zanieść filmy do wywołania. Byłam bardzo zdenerwowana, zastanawiałam się, jak wyjdą. Zdjęcia mojej ulicy, Dawida i moje, te, które zrobiłam Annaleni i jej prababci, i pozostałe: braci mojego chłopaka, jego rodziców, zdjęcia robione podczas prób kapeli w domu kultury, fotografie Wiktorii i jej chłopaka, Pani Strupp podczas ostatniego porodu, Annaleny przy pisaniu sztuki teatralnej i podczas prób, a także ujęcia mojej mamy przy malowaniu.

- Kosztowna zabawa - stwierdził Dawid, kiedy w moim pokoju pakowałam rolki filmu do plecaka.

Po raz pierwszy pomyślałam poważnie o tym, co powiedziała Wiktorii w moje urodziny. Mianowicie, że powinnam zażyczyć sobie jako prezent urodzinowy, by ojciec zapłacił za wywołanie filmów. Zmarszczyłam czoło. Tato od czasu moich odwiedzin ani razu nie zadzwonił. Żal ścisnął mi serce, ale potem spojrzałam na Dawida stojącego przy oknie i z tym swoim specyficznym uśmiechem patrzącego na miasto, i to sprawiło, że myśl o ojcu, który najwyraźniej znów o mnie zapomniał, stała się bardziej znośna.

Dawid lubił mój pokój. Mógł godzinami siedzieć na parapecie i spoglądać w dal.

Ja wolałam przebywać u niego.

- Stamtąd można gapić się tylko na ogródek. Co to za atrakcja - mówił na to, wrzuszając zawsze ramionami.

Stanełam obok swojego chłopaka i oparłam czoło o zimną szybę.

- Lubię tylko lewą część miasta - powiedziałam. - I ptaki na niebie. Prawa część jest taka brzydka. Ogromny szpital wygląda jak szary, pochylony potwór... a nowe osiedle też jest ohydne. Zawsze staram się nie patrzeć w tamtą stronę.

- A mnie podoba się to wszystko - odparł Dawid, spoglądając na mnie z bliska. Jego rzęsy były długie, zakręcone, na końcach jaśniejsze niż u nasady. To sprawiało wrażenie, jakby na jego oczy padały promyczki słońca.

- Tobie podoba się wiele śmiesznych rzeczy - stwierdziłam. Dawid zaśmiał się.

- Tak, na przykład ty - powiedział, pstrykając mnie delikatnie w nos. - Chodźmy!

I poszliśmy. Nasze ramiona dotykały się, kiedy staliśmy obok siebie w windzie, zjeżdżając na dół. Podobało mi się tak wiele w Dawidzie, ale nie wiedziałam, co on lubił we mnie, i nie śmiałam go o to zapytać.

Pojechaliśmy autobusem do centrum, oddać do wywołania filmy. Potem spacerowaliśmy po deptaku.

- Tam jest Annalena - zauważył w pewnym momencie Dawid, wskazując ręką na moją przyjaciółkę, która stała samotnie przed jedną z wystaw domu towarowego i wpatrywała się w nią bez ruchu. W oknie nie było nic poza trzema nagimi, pozbawionymi ramion manekinami. Ich gołe, w kolorze skóry ręce leżały porozrzucane na podłodze.

Podbiegłam do Annaleny i szarpnęłam ją za rękaw. Przestraszona wzdrygnęła się.

- Ach, to ty - powiedziała. - Zupełnie mnie przewiało, Lilli. Była blada i zdenerwowana. Wtedy przyszło mi na myśl, że przecież jutro, przed całą szkołą, ma odegrać swoją sztukę.

- Też jesteś sama? - wyraziła zdziwienie. Pokręciłam przecząco głową.

- Nie, z Dawidem - odparłam i odwróciłam się, szukając go wzrokiem. Stał ciągle tam, gdzie go zostawiłam, podbiegając do przyjaciółki. Nie był jednak sam. Szczupła blondynka, trzymając go za ramię jedną ręką, śmiała się i rozprawiała z nim o czymś.

- Kto to jest? - spytała mnie Annalena. Wzruszyłam ramionami i nagle ogarnął mnie niepokój. Lęk, że stracę Dawida - Dawida, który był moim chłopakiem i należał do mnie i do mojego życia, podobnie jak moja mama i Annalena, jak mój pokój, aparat fotograficzny i mój kocur.

Wolno podeszliśmy do Dawida, ale on rozmawiał, przysłuchiwał się i uśmiechał się do dziewczyny, prawie w ogóle nie zwracając na mnie uwagi. Dlaczego tak się zachowywał? Dlaczego zachowywał się tak, jakby mnie tu wcale nie było? Albo jakbym wcale nie była dla niego ważna!

- To była Miriam - powiedział ot tak, kiedy później szliśmy już we dwójkę. Po raz drugi poczułam tego dnia ścisk serca. A więc tak wyglądała Miriam, która kochała się w Dawidzie. Była ładna i, w przeciwieństwie do mnie, była jego rówieśniczką, i chodziła z nim do klasy. Wszystko to tak mnie zdenerwowało, że przez resztę drogi milczałam.

Nie odezwałam się też później, kiedy szliśmy dalej przez miasto ani kiedy wsiedliśmy do autobusu i jechaliśmy do domu.

- Lilli, chcesz coś jeszcze zrobić? - spytał mnie Dawid. Milcząc zaprzeczyłam.

- Jesteś zła?

Znów pokręciłam głową.

- To dlaczego nic nie mówisz? Milczałam.

- A więc jednak jesteś zła - skwitował.

Tak chciałam powiedzieć, jak bardzo go lubię i jak bardzo podoba mi się „uśmiech

Dawida”, że boję się, iż któregoś dnia po prostu zniknie z mojego życia tak nagle, jak się w nim pojawił. Jednak nie mogłam wykrztusić słowa. Gardło miałam ściśnięte, jakby mnie coś dusiło.

- Lilli, o co chodzi? - dopytywał się Dawid, spoglądając na mnie z boku.

- O nic - wymamrotałam wreszcie.

- OK, więc o coś ci chodzi, ale nic mi nie powiesz, tak? Milczałam.

- Zobaczymy się więc w najlepszym wypadku jutro na przedstawieniu Annaleny, OK?

W jego głosie wyczułam zdenerwowanie. Kątem oka zobaczyłam, jak spojrzał na zegarek, kiedy wysiadaliśmy z autobusu.

- W takim razie mogę jeszcze skoczyć na godzinę pograć. Chcesz pójść ze mną?

Nie chciałam. W domu kultury będą o tej porze wszyscy przyjaciele Dawida, a na ich towarzystwo i hałaśliwą próbę nie miałam teraz ochoty.

Dlatego poszłam do domu.

- Cześć, Lilli - pożegnał się przed bramą.

- Cześć, Dawid - odparłam cicho i szybko zamknęłam za sobą drzwi.

Kiedy usiadłam w pokoju, poczułam się bardzo samotna. Przez głowę przeleciała mi niepokojąca myśl, że dzisiaj doszło między mną a Dawidem do pierwszego nieporozumienia. Czy było to coś w rodzaju kłótni? Usadowiłam się na parapecie i spojrzałam w niebo.

Następny ranek był duszny i upalny. Za kilka dni przypadało rozdanie świadectw. Tego dnia zostałyśmy z Wiktorią zwolnione ze wszystkich lekcji, by pomóc Annaleni w ostatnich przygotowaniach do wystawienia jej sztuki. Zadaniem Wiktorii była obsługa reflektora, a ja miałam siedzieć z boku sceny, przy ciemnej ścianie, do której przymocowałyśmy okno z fragmentem panoramy Nowego Jorku. Stamtąd obsługiwałam sprzęt muzyczny. Raz trzeba było puścić hymn amerykański, raz Franka Sinatrę, a na zakończenie Celine Dion.

- Chyba umrę ze strachu - mamrotała cały czas Annalena. Ale przedstawienie wystawiane po południu odniosło wielki sukces. Ze swojego miejsca widziałam Dawida, siedzącego w jednym z tylnych rzędów. Po przedstawieniu podszedł do mnie.

- Ciągle zła? - spytał.

- Nie - odparłam szybko, po czym wyszliśmy razem. Na zewnątrz uderzyła nas, jak z rozżarzonego pieca, fala lipcowego gorąca.

Właściwie powinnam była pomagać teraz przyjaciółkom przy rozmontowywaniu dekoracji, a później miałyśmy pójść z ojcem Annaleny do „Luigiego” na lody. Ale nie zrobiłam ani jednego, ani drugiego. Zamiast tego wyszłam stamtąd z Dawidem. Szliśmy i szliśmy, a słońce grzało tak mocno, że aż nie miałam siły się ruszać.

- Czy lubisz też tę... Miriam? - spytałam cicho w pewnym momencie.

- Tak, jest sympatyczna - odparł Dawid. - I gra, jak ja, na perkusji.

„Jeszcze to na dodatek”, pomyślałam.

- Ale ciebie lubię bardziej - dodał David. - O wiele bardziej. Zabrzmiało to pięknie; pięknie i uspokajająco. Przemierzyliśmy w upale miasto, minęliśmy główną ulicę i zapuściliśmy się w mniejsze uliczki. W taki upał nie spotkaliśmy wielu przechodniów, dopiero kiedy dotarliśmy w pobliże rzeki, zagęściło się od ludzi.

- Gotuję się z gorąca. A ty? Kiwnęłam potakująco głową.

Wydawało mi się, że spacerowaliśmy już parę godzin. Nie mogłam sobie przypomnieć, żebym kiedykolwiek tak długo chodziła po mieście. Jeździłam raczej z mamą jej małym twingo, autobusem lub czasami na rowerze.

- Powiedzieć ci, co mi się w tobie podoba? - spytał nagle i obdarzył mnie tym swoim „uśmiechem Dawida”. A potem zaczął wymieniać, nie czekając na odpowiedź.

- Podobają mi się twoje piękne oczy i twoje długie, brązowe włosy, poważne

spojrzenie i kolana, i mała zmarszczka na nosie, która robi ci się, kiedy się złościsz. Lubię zadowolenie w twoim spojrzeniu, kiedy coś odkryjesz i zaraz zaczynasz to fotografować. Lubię twoje dłonie, kiedy są tak spocone, jak teraz. I to, że lubisz moich braci, też mi się podoba. I to, że słuchasz mnie, kiedy gram na perkusji, i to, że teraz tu ze mną jesteś.

Przed nami płynął Ren. Zatrzymaliśmy się, zmęczeni gorącem.

- Czuję się jak w saunie - powiedział Dawid, kręcąc głową, po czym zdjął z siebie T - shirt i wsadził do plecaka.

Spojrzałam na niebo, które nad naszymi głowami było oślepiająco jasne, ale dalej, po drugiej stronie rzeki nabierało zupełnie innej barwy. Tam było żółtoszare, jakby śliskie i poorane.

- Zbiera się na burzę - dodał. - Chodź, usiądźmy na trawie i poczekajmy na nią.

Położyliśmy się obok siebie na brzuchu i spoglądaliśmy na drugi brzeg.

- Ładnie tutaj - stwierdził mój chłopak. Skinęłam głową.

W tym samym momencie usłyszeliśmy z oddali odgłos pioruna.

- Uwielbiam burzę. - Dawid wyglądał na zadowolonego.

- Ja też - odparłam.

- Kocham też lato, bo wtedy burze są najczęściej. I kocham ciebie.

Spojrzeliliśmy sobie głęboko w oczy, a potem pocałowaliśmy się. I wtedy zaczęło padać. Łać jak z cebra. Duże krople deszczu spadały na nas, ale my, nie zważając na nie, całowaliśmy się dalej. Byliśmy przemoczeni do suchej nitki, lecz to nam nie przeszkadzało.

- Pójdziemy do mnie? - spytał w końcu Dawid. - Rodzice i bracia są u przyjaciół.

Zgodziłam się chętnie, pobiegliśmy więc na przełaj przez łąkę w kierunku promenady. Wszystkie ciuchy na nas były mokre. Na szczęście zaraz przyjechał autobus. Wsiedliśmy, trzymając się za ręce, i zaczęliśmy szukać wolnego miejsca. Mój wygląd pozostawiał wiele do życzenia: T - shirt oblepiał ciało, a na mokrej minispódniczce odcisnięta była zielona plama z trawy. Nie zamieniłam z Dawidem ani słowa. Podróż zdawała się trwać w nieskończoność. Wysiedliśmy na dworcu głównym. Dawid założył koszulkę, ale ponieważ dalej lało, kiedy dotarliśmy do jego domu, była tak samo mokra jak moja. Włosy lepiły nam się do głów, a strugi deszczu spływały po twarzach. Powietrze było przyjemnie chłodne i świeże, nie pamiętam już, kiedy czułam się tak fantastycznie. Gdy Dawid otworzył drzwi wejściowe, trzymając się za ręce, pobiegliśmy na górę do jego pokoju. Było mi gorąco i chłodno jednocześnie. Właściwie niezupełnie zdając sobie sprawę, co robimy, położyliśmy się obok siebie na łóżku. Dawid włożył mi swoją zimną, mokrą dłoń pod bluzkę i zdjął mi ją. Ściągnęłam z niego T - shirt. Potem zrzuciłam spódniczkę, a Dawid dzinsy.

Przez cały ten czas nie zamieniliśmy ze sobą ani słowa. Wszystko odbyło się bardzo cicho. Szumiał jedynie monotonnie uderzający o szyby deszcz. Poczułam, jak Dawid ostrożnie mnie głaszczę, a ja, wstrzymując oddech, obserwowałam go. Było tak, jakbyśmy znaleźli się w zupełnie innym świecie. Nie myślałam o niczym, tylko o Dawidzie. Nasze oczy były tak blisko, że czułam dotyk jego rzęs na swojej twarzy. Z mokrych włosów skapywały mu krople. Podchwyciłam jego ruchy we mnie, jego rytm, jego zapach.

Wiedziałam, że tej chwili nie zapomnę do końca życia.

*

Później zapadliśmy w krótką drzemkę. Obudziliśmy się twarzą przy twarzy, i to przebudzenie było wspaniałe. Miałam wrażenie, że odleciałam hen, daleko z tego zwyczajnego, skomplikowanego świata do innego wymiaru, w którym życie było łatwe i piękne.

Ubraliśmy się. Dawid zagrał dla mnie na perkusji, a potem pojechałam autobusem do domu. Mój chłopak, obejmując ramieniem, odprowadził mnie na przystanek. Włosy miałam już suche, podobnie jak ciuchy, które włożyliśmy na moment do suszarki. Deszcz ustał.

Przepuściliśmy pierwszy autobus, drugi też, ale do trzeciego już wsiadłam, gdyż zrobiło się późno i mama na pewno zaczęła się o mnie martwić. U Dawida w domu kilka razy dzwonił telefon, ale nie zwracaliśmy na niego uwagi.

Kiedy weszłam do domu, mama malowała.

- Martwiłam się o ciebie! - powiedziała. - Wybrałam się specjalnie do szkoły, żeby obejrzeć sztukę Annaleny, ale po przedstawieniu nigdzie nie mogłam cię znaleźć. Annalena i Wiktoria też cię szukały. Gdzie byłaś? Poszłaś z Dawidem?

- Tak - odparłam i spojrzałam ostrożnie na mamę. Czy pozna po mnie, co się stało? Że zrobiłam „to”, że przespałam się z moim chłopakiem.

- Próbowałam złapać cię telefonicznie.

- Spacerowaliśmy - powiedziałam.

- Podczas burzy? Skinęłam głową.

Nic po mnie nie poznała. Milcząc, nakrywałyśmy do stołu. Po kolacji poszłam do swojego pokoju. Tęskniłam za Dawidem. Chciałam go objąć, przyłgnąć do niego, porozmawiać z nim o tym, co zrobiliśmy. Zamiast tego otworzyłam okno i oglądałam zachód słońca. Ja, Lilli Milewski, w samym środku nieba. Żywa, ale w niebie.

A potem zaczęłam sobie nucić pod nosem.

*

Dzień później opowiedziałam o tym Wiktorii. Zadzwoiłam do niej z pytaniem, czy nie poszłaby ze mną do fotografa odebrać zdjęcia.

Spotkałyśmy się na deptaku.

- Wiktorio, spałam z Dawidem - powiedziałam cicho, ledwo stanęłyśmy naprzeciwko siebie.

Przyjaciółka otworzyła szeroko oczy ze zdumienia.

- Jesteś młodsza ode mnie, a ja z Henrykiem jeszcze tego nie robiłam. W ogóle między nami już koniec...

Ruszyłyśmy wolno przed siebie.

- I... jak było? - spytała w końcu Wiktorii.

- Fajnie - odparłam. - Fajnie i dziwnie. Być tak blisko kogoś. Trochę nieswojo. Szybko poszło, bardzo szybko. Myślałam, że to trwa dłużej.

O wiele za wcześnie stanęłyśmy przed sklepem fotograficznym.

- Psst! - powiedziałam, kiedy wchodziłyśmy do środka. Odebrałam osiem kopert ze zdjęciami. Rachunek był wysoki, ale mama dała mi pieniądze.

Kiedy znów znalazłyśmy się na zewnątrz, Wiktorii spytała:

- Pomyśleliście o... zabezpieczeniu?

- Na to nie było czasu. Poza tym zupełnie o tym zapomniałam. Tak czy owak, jutro lub pojutrze mam dostać okres. A tak krótko przed nim nic nie może się przecież przytrafić.

*

Powstały sto trzydzieści cztery ujęcia naszej ulicy. Na nich dostrzec można było siedemnaście różnych osób, a na trzech fotografiach w rogu kilka nóg. Pierwsze zdjęcia były jeszcze nieostre, robione niewprawną ręką, ale kolejne okazywały się coraz lepsze. Uwieczniłam masę gołębi i tylko jedną wronę, a jedno zdjęcie zrobiłam Dawidowi, siedzącemu na ławce przy przystanku autobusowym.

Drzewo na wszystkich stu trzydziestu czterech ujęciach wyszło równie pięknie. Niczym w teatrze cieni zmieniało się z ogołoconego z liści, marznącego w zimie, w rozkwitające bujnie latem. Na moich fotografiach pięknie uchwyciłam również słońce i deszcz, grę światła i cieni. A także refleksy i odbicia w szybie piekarni.

- Wspaniały pomysł - oceniła mama i pomogła mi nakleić zdjęcia na długi, czarny pasek z tektury.

Po południu przyszedł Dawid i włączył się do pomocy. Nie mogłam powstrzymać się od tego, by mu się nie przyglądać: jego dłoniom, ramionom, twarzy, nogom, i od myślenia o

tym, jak bliscy sobie teraz byliśmy.

Kiedy mama zostawiła nas w końcu samych, nie robiliśmy nic innego, tylko całowaliśmy się. Obsypałam twarz Dawida szczerymi, delikatnymi pocałunkami. Mogłam usłyszeć jego oddech. Nasze usta znów się spotkały, a wtedy Dawid wsunął mi koniuszek języka.

Później razem z mamą oglądaliśmy pozostałe zdjęcia. Byli na nich Dawid, moja mama, Bernard, Annalena, jej tato i prababcia, Wiktoria z Henrykiem, pani Bartolotti, Ren, drzewa, miasto, niebo rozciągające się za oknem mojego pokoju, ptaki i autobus linii, którą wracałam od ojca z Moguncji.

- Dzwonił zresztą niedawno i chciał z tobą rozmawiać - powiedziała mama.

Kiwnęłam głową, ale teraz nie mogłam myśleć o tacie. Uśmiechnęłam się do Dawida, wyszukałam jedyne zdjęcie, na którym byliśmy obydwój (zrobiła je nam Wiktoria), i przypięłam pinezką do tablicy nad moim biurkiem.

„Dawid i Lilli”.

Wieczorem, kiedy mama poszła z Bernardem do kina, znów przespałam się z Dawidem. Tym razem w moim własnym pokoju, w moim własnym łóżku.

- Lilli, kochana Lilli - powiedział, gładząc mnie po gołym brzuchu.

*

Następnego ranka dostałam okres. Stałam naga przed lustrem w łazience i zaczęłam się sobie przyglądać. Wyglądałam tak jak zawsze, ale od kiedy przespałam się z Dawidem, czułam się zupełnie inaczej niż wcześniej.

*

Pod koniec tygodnia otrzymaliśmy świadectwa szkolne. Schowałam swoje i razem z koleżankami i kolegami wyszłam z naszej sali. Zaczynały się wakacje, po nich miałam być już w ósmej klasie. Na całej długości szkolnego korytarza wisały moje zdjęcia, ekspozycja wyglądała zachęcająco. Bernard obiecał wystawić je jeszcze raz jesienią w foyer swojej galerii.

Prezentacja Wiktorii jej świnek morskich spowodowała, że pozbyła się dziewięciorga młodych, znajdując dla nich nowych opiekunów.

Poszliśmy do „Luigiego” i zamówiliśmy duże lody. Dawid też dołączył do nas, siadając obok mnie. Razem z Wiktoria i Henrykiem stanowiliśmy tutaj jedyne pary. Fakt ten sprawiał mi dużą przyjemność.

- Jesteś najładniejsza ze wszystkich - szepnął mi Dawid na ucho.

Później, kiedy przyjechaliśmy do mnie, na tablicy w kuchni odkrył zdjęcie mojej polskiej babci.

- Kto to jest? - spytał zaciekawiony, biorąc fotografię do ręki.

- Irena Milewska - odparłam. - Moja babcia. Od dawna nie żyje. Nigdy jej nie widziałam.

- Lilli, jesteś do niej szalenie podobna - zauważył. Gwałtownie zaprotestowałam.

- Bzdura!

- A jednak! Przyjrzyj się dokładnie - naciskał.

- Przestań - powiedziałam, odkładając zdjęcie na miejsce. - Ona była nudziarą, śmiertelnie poważną gospodynią domową...

- Uważam, że była tak samo ładna jak ty - obstawał przy swoim.

Na szczęście później rozmawialiśmy o czymś zupełnie innym. Tamtego wieczoru kochaliśmy się po raz trzeci. Zaczęło się od tego, że odprowadziłam Dawida na przystanek autobusowy, a potem po prostu wsiadłam razem z nim. Dojechaliśmy na miejsce i wysiedliśmy z autobusu.

- Odprowadzę cię kawałek, OK? - powiedział, po czym oboje przeszliśmy na drugą stronę ulicy, wsiadliśmy do autobusu jadącego w przeciwną stronę i zajechaliśmy znów do mnie. Kiedy wysiadaliśmy, spytałam:

- Ucieszyłbyś się, gdybym jeszcze raz pojechała z tobą kawałek?

Dawid zaśmiał się i skinął głową. Szliśmy, trzymając się za ręce. Rozpadał się deszcz, który szybko zamienił się w intensywną ulewę..

- Jak niedawno... - rozmarzyłam się i ścisnęłam dłoń Dawida. Znów pojechaliśmy do niego, dyskretnie zakradliśmy się do mokrego teraz, otaczającego dom ogródka...

- Raz w pokoju Dawida, raz w moim, a raz w strugach deszczu - wyliczałam Wiktorii kilka dni później.

Mój chłopak wyjechał na trzy tygodnie z rodzicami na Cypr. - I za każdym razem bez zabezpieczenia - skwitowała przyjaciółka z dezaprobatą.

- Akurat miałam okres - uspokołam ją, rysując jednocześnie palcem na szybie okna kuchennego, tak jak to robiła mama, zarys górnej wargi Dawida.

Życie było piękne.

Mama, Bernard i ja pojechaliśmy do Włoch. Zrezygnowana siedziałam na tylnym siedzeniu naszego samochodu i przez długie godziny monotonnej podróży słuchałam muzyki. Autostrada zdawała się nie mieć końca, po jakimś czasie wjechaliśmy w obszar Niziny Padańskiej. Robiło się coraz bardziej upalnie.

T - shirt przyklejał mi się do ciała.

Najpierw udaliśmy się do Rzymu, ponieważ Bernard uwielbiał to miasto, a potem nad Adriatyk, do Marina di Rawenna, gdzie znajoma mamy miała niewielki dom. Byliśmy tam już kiedyś, raz wzięliśmy nawet ze sobą Annalę. Jednak tego lata przyjaciółka wyjechała ze swoim tatą. Wiktoria także wybrała się do ojca, do Francji.

- Niedobrze mi - powiedziałam i wyłączyłam discmana.

- Napij się czegoś, Lilli - poradziła mama. Posłuchałam jej rady, ale nadal było mi niedobrze. Ostatnio ciągle źle się czułam.

*

W Rzymie spędziliśmy tydzień. Mieszkaliśmy w jego gorącym centrum, w ciasnym mieszkanku, należącym do brata Bernarda.

- Co za przepiękne miasto! - mama nie przestawała się zachwycać. Dokądkolwiek szliśmy, brała pod pachę blok rysunkowy i kreśliła szkice jeden za drugim.

- Dlaczego właściwie nie robisz tutaj żadnych zdjęć? - ze zdziwieniem pytał mnie kilkakrotnie Bernard.

Wzruszałam na to ramionami. Dokuczał mi ból i zawroty głowy, a tamtego ranka nawet zwymiotowałam.

Nie miałam na nic ochoty i tęskniłam za Dawidem.

- To od słońca. Źle znosi te upały - powiedziała mama, głaszcząc mnie po czole.

Było to miłe uczucie i po raz pierwszy w życiu zaczęła mi przeszkadzać obecność Bernarda. Nieoczekiwanie przyszło mi na myśl, że zagarnął część uczuć mamy. Był przy tym tak bardzo miły jak zawsze, a wszyscy, gdziekolwiek się pojawialiśmy, brali go za mojego ojca. Raz nawet pewien kelner stwierdził, że jestem jak skóra zdarta z mego taty. Bernard uśmiechał się, tłumacząc mi te słowa.

Kiedy dobiegł końca nasz tydzień w Rzymie, przenieśliśmy się do Rawenny.

Z ulgą spacerowałam samotnie plażą. Tuż przy brzegu wiał silny wiatr. Powietrze przesycone było zapachem morza i soli.

Bungalow, w którym mieszkaliśmy, był oddalony od plaży zaledwie o kilka minut marszu. Rano poszliśmy z mamą na targ i kupiliśmy ogromne brzoskwinie, pomidory i gigantycznych rozmiarów pęk bazylii oraz grube, białe dzwonka miecznika, które Bernard chciał dla nas według starego włoskiego przepisu przygotować na kolację.

Cały dzień cieszyłam się na te pyszności, ale wieczorem, kiedy ryba leżała już na talerzu, nie byłam w stanie zjeść ani kęsa. Choć potrawa pachniała tak smakowicie, nagle jej zapach wydał mi się obrzydliwy. Przestraszona przycisnęłam dłonie do ust, wypadłam do małej łazienki i zwróciłam.

*

Cypr z Marino di Ravenna nie miał bezpośredniego połączenia telefonicznego, a tak mi brakowało mojego chłopaka. Słońce paliło niemiłosiernie, byłam cała pokąsana przez komary i dokuczały mi spowodowane upałem częste zawroty głowy. Jednak przynajmniej mój żołądek się uspokoił. Razem z Bernardem wałęsaliśmy się po miasteczku, podczas gdy mama siedziała na trawie rosnącej przy plaży i malowała, albo korzystała z lekcji gry na fletni Pana u Włoszki w podeszłym wieku, którą wcześniej poznała.

Bernard i ja spacerowaliśmy po placu, jedliśmy lody, zwiedziliśmy nawet bazylikę San Vitale i obejrzelśmy witraże. Padające przez kolorowe okno promienie słońca rozświetlały je. Wyglądało to pięknie, naprawdę zachwycająco.

Szkoda, że nie było tu Dawida, by też mógł to zobaczyć.

*

Po trzech tygodniach wróciliśmy do domu. Od razu zadzwoniłam do mojego chłopaka, ale jego mama poinformowała mnie, że wyjechał razem z braćmi i tatą na tygodniową wspinaczkę do Austrii.

- Szkoda - powiedziałam i odłożyłam słuchawkę. Następnie z wakacji kolejno wrócili Wiktoria i Annalena.

Wybrałyśmy się razem na basen. Wiktoria miała nowego chłopaka: Tima.

- Jak ładnie jesteś opalona! - zauważyła Annalena, przykładając z westchnieniem swoje blade piegowate ramię do mojego. Przyjaciółkę jej brak widocznej opalenizny złościł każdego lata.

Wiktoria także mi się przyglądała, a kiedy upewniła się, że Tim nie może nas usłyszeć, powiedziała cicho:

- Ostatnio zrobił ci się całkiem ładny biust.

Spojrzała bezceremonialnie na moją górę od bikini.

- Nie gap się tak - odparłam zakłopotana, okrywając rącznikiem ramiona.

Wiedziałam jednak, że Wiktoria ma rację. Moje piersi rzeczywiście sprawiały teraz wrażenie większych. Wyglądało na to, że znów mi rosły, tak jak wtedy, gdy miałam dwanaście lat. Wówczas też mnie trochę pobolewały. I tak samo były wrażliwe na dotyk.

*

Pod koniec tygodnia wrócił mój chłopak. Akurat tego ranka dostałam okres, ale na szczęście krwawienie było o wiele słabsze niż kiedykolwiek wcześniej. Wsiadłam więc na rower i pojechałam do Dawida.

- W końcu jesteś - powiedział, obejmując mnie.

- To ciebie wiecznie nie było - odparłam. Pocałowaliśmy się, a potem z Leonem, Justusem i Bastianem rozegraliśmy zaciekły turniej badmintonu. Od czasu do czasu zerkałam ukradkiem na miejsce, w którym kochaliśmy się w strugach deszczu. Momentami dopadał mnie ból brzucha, krótki i rwący. Ale to pewnie z powodu miesiączki.

- Najchętniej zostałbym teraz z tobą sam na sam. I to na długo - powiedział później Dawid, kiedy w promieniach słońca leżeliśmy obok siebie na trawie w ogródku.

Uśmiechnęłam się do niego, a on odwzajemnił mój uśmiech.

Wieczorem, po powrocie do domu, odniosłam wrażenie, że miesiączka już mi minęła. Zdziwiona cesałam włosy, spoglądając przez okno na nagrzane za dnia miasto. Piersi nadal miałam obolałe.

*

Później zaczęła się szkoła. Wiktoria i Tim zerwali ze sobą, a Henryk znów się do nas przyłączył. Któregoś dnia nauczyciel gry na perkusji oświadczył Dawidowi, że - jeśli tylko by się postarał - mógłby wziąć udział w przesłuchaniach do orkiestry młodzieżowej miejskiego teatru. Dawid posłuchał rady i w następnych tygodniach prawie nie miał dla mnie czasu.

Któregoś dnia zadzwonił do mnie tato i zaproponował, żebym znów go odwiedziła. Zgodziłam się, ale później obydwójce nie mogliśmy się dogadać co do terminu.

- Jesteś zajęta jak menedżer dużej firmy! - oświadczył. A to przecież on ciągle nie miał czasu. - A jak się w ogóle miewasz? - spytał na koniec. - W każdym razie twoja kartka z Rzymu bardzo nas ucieszyła.

„...bardzo nas ucieszyła...!” Przecież zaadresowałam ją wyłącznie do mojego ojca.

- Tak sobie - odparłam szczerze. Pomyślałam o tym, jak często ostatnio robiło mi się niedobrze: z moim żołądkiem coś musiało być nie w porządku. Czasami rano wymiotowałam, tak po prostu, bez wyraźnej przyczyny. Ciągle też doskwierające zawroty głowy nie dawały

mi spokoju już w Rzymie i w Marina di Ravenna.

Na koniec umówiliśmy się, że tato odezwie się do mnie bez uprzedzenia, jeśli będzie w okolicy.

- Wtedy po prostu zjawię się i gdzieś się razem wybierzemy - obiecał.

- OK - powiedziałam i przycisnęłam czerwony klawisz, by zakończyć rozmowę. Siedziałam po turecku na podłodze, a kiedy wstałam, znów pojawił się ból, który tak często teraz mnie męczył. Odruchowo położyłam ręce na brzuchu i nagle przyszły mi na myśl pytania. Dlaczego ostatnim razem krwawienie w czasie miesiączki było takie słabe? Dlaczego bolały mnie piersi? Dlaczego nagle stały się twarde? Dlaczego ciągle robiło mi się niedobrze? Dlaczego tak często rano musiałam zwracać? Dlaczego nagle nie przechodziła mi przez gardło pizza *frutti di mare*?

- Zrobiliśmy to trzy razy - mówiłam nie tak dawno do Wiktorii. - Raz w pokoju Dawida, raz w moim, a raz w deszczu.

A Wiktoria odpowiedziała:

- I za każdym razem bez zabezpieczenia!

Zrobiło mi się ciemno przed oczami, drżąc oparłam się o ścianę.

Czy to możliwe, by...?

Nie odważyłam się dokończyć tej myśli. Stałam zesztywniała, a w głowie miałam chaos. Chciałam zadzwonić do Annaleny albo Wiktorii, a może do Dawida...

Nie, do Dawida nie! Co miałabym mu powiedzieć? Że obawiam się, że jestem...

- Nie, nie, nie - wyszeptałam z trwogą i uciekłam z pokoju. Potykając się, wpadłam do łazienki i starannie zamknęłam za sobą drzwi. Drżącymi rękoma zdjęłam z siebie ubranie i z wahaniem spojrzałam w lustro.

Wyglądałam tak jak zawsze, co do detalu. Z wyjątkiem opalenizny i powiększonego biustu. Z obawą przyjrzałam się moim zmienionym piersiom. Potem oglądnęłam brzuch. Na koniec uniosłam ciężkie teraz jak ołów ręce i zaczęłam wodzić nimi po delikatnej skórze brzucha, patrząc sobie prosto w odbite w lustrze oczy.

Nagle coś przyszło mi na myśl. Po tym, jak przespałam się z Dawidem, dostałam jeszcze raz miesiączkę! W dniu, w którym Dawid wrócił z Austrii. No dobrze, przebiegała trochę inaczej niż zwykle, krwawienie było dość słabe, ale było. A od tamtego wieczoru w strugach deszczu nie zrobiliśmy tego już więcej.

- Nic nie mogło się zdarzyć - powiedziałam, bezdźwięcznie poruszając ustami do swojego odbicia w lustrze, po czym powoli znów się ubrałam. Brzuch wciąż mnie bolał.

Poszłam do dużego pokoju i stamtąd patrzyłam tępo przed siebie, do czasu aż mama

wróciła z wywiadówki. Zrobiło się już całkiem ciemno. Senna, wpadłam na nią w drodze do łóżka.

- Wszystko w porządku, Lilli? - spytała. Kiwnęłam głową i wsunęłam się szybko pod kołdrę.

*

Nadal miewałam rano mdłości. Na śniadanie nie mogłam nic przełknąć.

- Co ci jest, Lilli? - spytała mama, przyglądając mi się z z troskaniem.

- Nic - skłamałam.

„Co z tobą, Lilli?”, nabazgrała na skrawku papieru Annalena i podała mi go na lekcji.

„Nic!”, odpisałam, stawiając z rozdrażnieniem wykrzyknik.

Codziennie telefonowałam do Dawida, ale za każdym razem albo nie miał czasu, albo nie było go w domu.

- Wciąż tylko ćwicz i ćwicz i robi ogromny hałas! - poinformował mnie kiedyś Bastian i skierował słuchawkę ku piwnicy, żebym sama mogła się o tym przekonać. Istotnie, z daleka doszedł mnie dźwięk perkusji.

W następny poniedziałek nie wytrzymałam.

„Muszę ci coś powiedzieć!”, nabazgrałam na bibułce do atramentu i podsunęłam Annaleni. Wiktoria siedziała nieosiągalna na drugim końcu klasy. Zresztą, od kiedy pogodziła się z Timem, mało przejmowała się mną czy Annalena. Jej chłopak grał w drużynie piłkarskiej, dlatego ciągle ostatnio przesiadywała na boisku.

„Co?”, odpisała Annalena.

„Obawiam się, że coś złego!”, wyznałam, drżąc cała. Zrobiło mi się zimno, choć dzień był ciepły.

Przyjaciółka spojrzała na mnie pytająco, ale ja dałam znak odmowny.

- Po lekcji - szepnęłam. Jednak nie starczyło mi odwagi.

- Co się stało? - spytała zaraz po dzwonku na dużą przerwę.

- A, nic takiego - odparłam półgłosem, odwracając się w drugą stronę.

- Lilli, powiedz - poprosiła. Ale ja pokręciłam jedynie głową.

„Może powinnam raczej porozmawiać z Wiktoria? Ona ma Tima, więc lepiej wszystko zrozumie niż Annalena”. Lecz i tę myśl odrzuciłam. *Po prostu nie mogłam tego powiedzieć!*

Na resztę tygodnia skryłam się w swoim pokoju, obserwując zmiany, które zachodziły w moim ciele. W czwartek zadzwonił w końcu Dawid. Serce zabiło mi mocniej na dźwięk

jego głosu.

- Jestem w pobliżu twojego bloku - powiedział.
- Dlaczego tak długo się nie odzywałeś? - spytałam.
- Lilli, muszę ćwiczyć! W następnym tygodniu mam przesłuchanie w teatrze!
- U mnie... u mnie nie wszystko jest w porządku - wydusiłam z trudem.
- Właśnie jestem u Jannesa.

Jannes był jego nauczycielem gry na perkusji i mieszkał na tym samym osiedlu, co ja z mamą.

- Możesz do mnie wpaść? - spytałam.
- Sorry, ale nie mam czasu - odparł David. - Może w weekend.

Położyłam sobie poduszkę w kształcie serca na brzuchu i objęłam ją rękoma.

„Dawidzie, chyba jestem w ciąży... „, powiedziałam w myślach i poczułam, że zaczynam dygotać.

- Właśnie leci samolot! - w tej samej chwili odezwał się do słuchawki mój chłopak. - Też go widzisz?

Spojrzałam przez okno na bezchmurne niebo.

- Tak - odparłam bezwiednie, myśląc jednocześnie, co zrobię, jeśli rzeczywiście okaże się, że jestem w ciąży.

*

Test ciążowy...

Z tą myślą obudziłam się następnego ranka. Dłuższą chwilę leżałam bez ruchu. Że też nie wpałam na tę myśl wcześniej! Wystarczyło zwyczajnie zrobić sobie taki test...

Wejść do apteki, powiedzieć „dzień dobry”, poprosić o test ciążowy, wyjąć z portmonetki pieniądze, położyć na ladzie, zabrać resztę i wsunąć test do plecaka - a potem?

Nie zdobyłam się na to, choć po drodze do szkoły minęłam trzy apteki. Mimo to nie zdobyłam się... Co pomyślałby sobie aptekarz, gdybym poprosiła o taki test? I gdzie miałabym go zrobić? I jak właściwie używa się tego testu?

A co będzie, jeśli wynik okaże się pozytywny?

*

Pod koniec tygodnia przyszedł Dawid. Nie potrafiłam ukryć przed nim dręczącego mnie niepokoju.

- Co się z tobą dzieje? - spytał zaraz na początku, zupełnie jak inni.
- Nic - odparłam, tak jak odpowiadałam tym, którzy pytali. Dawid musiał wracać, a ja

znów zostałam sama ze swoimi obawami.

*

Rano w poniedziałek nie wytrzymałam i opowiedziałam o wszystkim Annaleni.

Jednym bełkotliwym zdaniem wyrzuciłam z siebie:

- Annalena - spałam - z - Dawidem - a - teraz - boję - się - że - za - szłam - w - ciążę.

Potem zamilkłam, opadając wyczerpana na ławkę przystanku autobusowego, na której siedział Dawid, kiedy go po raz pierwszy zobaczyłam.

Przyjaciółka usiadła obok i objęła mnie ramieniem. Następnie załatwiła wszystko sama. Poszła do jednej z trzech aptek i kupiła test, którego tak się obawiałam. To ona przeczytała instrukcję obsługi i wyjaśniła, co mam robić.

Opuściłyśmy tego dnia szkołę i poszłyśmy do Annaleny.

Siedziałyśmy w łazience, wpatrując się w małe okienko, w którym powinien ukazać się mały różowy krzyżyk, jeśli rzeczywiście byłam w ciąży. A jeśli nic się nie przydarzyło, miejsce to pozostałoby niezmienione.

- Jeszcze dziesięć sekund - powiedziała Annalena, zerkając na zegarek.

Jednak już tam był: mały różowy krzyżyk.

- Nie, proszę, proszę, nie... - szeptałam.

- Przykra sprawa... - mruknęła przyjaciółka. Po chwili, kiedy zaczęłam płakać, bez słowa pogłaskała mnie.

Płakałam i płakałam, aż odniosłam wrażenie, że wypłakałam z siebie całą energię.

- Musisz powiedzieć swojej mamie - dużo później odezwała się Annalena. W jej głosie wyczuć można było ostrożność, tak jakby mówiła do małego dziecka. Nadal siedzieliśmy w łazience oparte plecami o wannę.

- Nie, nie mogę - szepnęłam. - Może to jakaś pomyłka... Spojrzałam z nadzieją na jasne pole testu, wciąż nie mogąc uwierzyć w jego wynik! Czy rzeczywiście nosiłam w sobie dziecko Dawida i moje, tylko dlatego że przespaliśmy się ze sobą trzy razy? Pomyślałam o chwilach spędzonych w jego łóżku, potem w moim i tych w strugach deszczu w ogrodzie.

- Moja ciocia też raz... miała aborcję - nagle odezwała się Annalena. - To nie było takie straszne. Zaraz po zabiegu mogła iść do domu.

Znów popatrzyłam na mały różowy krzyżyk, wsłuchując się w siebie. Dziwne uczucie - wiedzieć, że ma się w brzuchu dziecko. To samo odczuwała moja polska babcia, kiedy zaszła w ciążę z księdzem. I moja mama, kiedy spotkała ojca i przespała się z nim jeden jedyny raz.

Moja babcia miała wtedy czterdzieści trzy lata.

Moja mama - dwadzieścia jeden.

Ale ja miałam dopiero czternaście i pół roku!

- Chcę do domu - usłyszałam nagle własny głos. Wstałam i pojechałam sama.

*

- Cześć, mamó - powiedziałam ostrożnie, stając w drzwiach dużego pokoju.

- O, już jesteś? - odparła ze zdziwieniem, odrywając się od przeglądania planu swoich dyżurów w szpitalu.

Przytaknęłam skinieniem głowy.

- Co się stało? Zrobiło ci się niedobrze czy wcześniej puścili was ze szkoły?

- Ja... - zaczęłam z wahaniem. Czułam, że trzęsą mi się kolana.

- Płakałaś?

Mama spojrzała na mnie badawczo.

- Lilli, co się dzieje? Od dawna jesteś jakby zgaszona i nerwowa.

- Ja... - znów zaczęłam, urwałam i przysiadłam ostrożnie na brzegu kolorowej sofy, bo nagle nie mogłam utrzymać się na nogach.

- Mam przynieść szklanek koralików? - zaproponowała mama, odstawiając grafik

dyżurów.

Zaprzeczyłam gestem.

- Pokłóciłaś się z Dawidem? - spytała, siadając obok mnie. W tym momencie rozpłakałam się.

I wtedy zrozumiała, tak po prostu...

- Lilli, jesteś może... w ciąży?! - W jej głosie wyczułam przerażenie.

Wzruszyłam ramionami, a potem skinęłam głową i dalej płakałam.

- Czy to... pewne? - szepnęła, spoglądając na mnie z bliska. Znów wzruszyłam ramionami.

- Jak to się mogło stać? Przecież rozmawiałam z tobą o tych sprawach, o tobie i Dawidzie, o tym, że może zechcecie rozpocząć współżycie. Dlaczego nie przyszłaś z tym do mnie? Dlaczego nic nie powiedziałaś? Nie zabezpieczyliście się? Nie użyliście prezerwatywy? Kiedy spaliście ze sobą? Kiedy miałaś ostatni raz okres?

Zatkałam sobie uszy rękoma.

- Mamo, proszę, przestań... - wyszlochałam.

Mój płacz był chyba zaraźliwy, bo mama raptownie też się rozpłakała. Mimo to nie przestała zadawać pytań.

- Jak długo spóźnia ci się miesiączka? Dlaczego to zrobiłaś? Lilli, przecież masz dopiero czternaście lat! - drażyła, a jej zapłakany głos sprawiał mi niemal fizyczny ból.

Nagle drgnęła i chwyciła mnie za przeguby dłoni.

- Lilli, przecież już we Włoszech ciągle źle się czułaś! Psiakrew! *Jak długo opóźnia ci się miesiączka?!*

Nie byłam w stanie odpowiedzieć. Uciekłam do swojego pokoju, zasunęłam żaluzje i rzuciłam się na łóżko. Drzwi za sobą zamknęłam na klucz. Najchętniej zostałabym tam na zawsze, ukryta w ciemnościach, nie myśląc o niczym, zostawiona w spokoju.

*

Ale oczywiście nie pozwolili mi pozostać w łóżku, w którym leżałam zeszywniała i zimnymi palcami macałam nerwowo mój miękki, płaski brzuch.

„To wszystko to czyste szaleństwo... Na pewno test się mylił - tak się przecież zdarza. Taki błyskawiczny test do zrobienia w ciągu minuty może dać fałszywy wynik”.

Usłyszałam pukanie, ale nie poruszyłam się.

- Lilli, proszę, otwórz wreszcie! - krzyknęła mama. I tak próbowała mnie przekonać, abym wyszła, jeszcze wiele razy, aż do wieczora. Za każdym razem, kiedy mnie wołała, jej

głos brzmiał inaczej: to groźnie, to opanowanie, raz był pełen rozpacz, innym razem brzmiał prosząco, a jeszcze innym zimno lub miękko.

Zatykałam rękoma uszy, zapadałam w drzemkę, budziłam się, czując, że po twarzy spływają mi ciepłe łzy. Od czasu do czasu dawało znać o sobie lekkie klucie w brzuchu, do którego ostatnio już zdążyłam przywyknąć. Co znaczył ten ból? Coś związanego z chorobą? Czy może moje dziecko robiło sobie powoli miejsce, by móc rosnąć i rozwijać się?

Także piersi cały czas miałam nabrzmiałe.

Wieczorem znów rozległo się pukanie do drzwi.

- Lilli - usłyszałam głos mamy Dawida. A więc mama ją w to wtajemniczyła. Przycisnęłam poduszkę - serce do zapłakanej twarzy i nie ruszyłam się z miejsca. Byłam głodna, musiałam iść do ubikacji, czułam się samotna i tęskniłam za Dawidem.

I nagle usłyszałam go.

- Lilli? - zawołał przytłumionym głosem. Podniosłam się i otworzyłam drzwi.

Milcząc, staliśmy naprzeciw siebie. Z dużego pokoju dochodziły do mnie dźwięki rozmowy prowadzone ściszym głosem. Słyszałam moją mamę, Bernarda i rodziców Dawida.

- Narada wojenna - odezwał się w końcu mój chłopak, wzruszając ramionami. Spojrzał na mnie niepewnie.

- Czy to dzieje się naprawdę? - spytał cicho.

- Nie wiem... - odpowiedziałam równie cicho. Dawid pokręcił z niedowierzaniem głową.

- Co za obłąd - mruknął. - Zupełny obłąd... Zauważyłam, jak ukradkiem przygląda się mojemu brzuchowi.

- Dlaczego nic mi nie powiedziałaś? - spytał.

- Cały czas nie byłam pewna - odparłam. - I nadal nic z tego nie rozumiem. W lipcu, po tym, kiedy to... zrobiliśmy, dostałam przecież... okres.

Urwała. Rozmowa z Dawidem o mojej miesięczce była dla mnie strasznie kłopotliwa.

- To nie może być więc prawda! - krzyknął oszołomiony. Wzruszyłam tylko ramionami i spojrzałam w jego zielonoszare oczy.

- Jednak ten test... - mruknęłam nerwowo. O bólach brzucha i zmienionych piersiach nie odważyłam się mu wspomnieć.

- Ba! Taki głupi test może się mylić! - odparł Dawid. Nagle położył ciepłe ręce na moich napiętych ramionach. - Lilli, po prostu musi być wszystko OK...

*

Jednak nie było OK. Któregoś ranka mama wzięła wolny dzień w pracy i zawiozła mnie do swojego ginekologa. Jeszcze nigdy tam nie byłam, zakłopotana i podenerwowana usiadłam na pierwszym lepszym krześle w poczekalni. Mama zajęła miejsce tuż obok.

Pomyślałam o Dawidzie, który był teraz w szkole, podczas gdy ja musiałam trafić tutaj.

- Mamo, wołałabym... - odezwałam się cicho, ale urwałam. A potem weszliśmy razem do gabinetu.

Musiałam usiąść koło dużego biurka. Mama zajęła miejsce przy mnie. Naprzeciwko nas siedziała lekarka. Mama pokrótce opisała jej cel naszej wizyty. Poczułam, że zaczyna mnie boleć głowa, oblewam się rumieńcem, a paznokcie wpijają mi się w skórę dłoni. Później musiałam się rozebrać i położyć na leżance.

- Rozluźnij się, Lilli - powiedziała przyjaźnie lekarka, przysuwając do mojego podbrzusza wąską, zaokrągloną z przodu łaskę.

- To jest bardzo dokładny aparat ultradźwiękowy - wyjaśniła mi.

Zawstydzona zamknęłam oczy i zacisnęłam zęby. Kilka sekund panowała zupełna cisza. W pewnej chwili otworzyłam oczy i ukradkiem rozejrzałam się wokół. Zobaczyłam, że lekarka i mama wpatrują się jak zahipnotyzowane w kwadratowy monitor, który jednak tak był ustawiony, że nie mogłam nic na nim dojrzeć.

- No, tak, rzeczywiście to jest ciąża we wczesnym stadium - lekarka powiedziała półgłosem do mamy. Usłyszałam, że mama wciąga głęboko powietrze.

Wszystko zawirowało mi przed oczami. Dziecko! Mam w brzuchu dziecko! Dziecko Dawida! Dawida i moje...

- Początek ósmego tygodnia - powiedziała właśnie ginekolog, ale nie do mnie, tylko do mamy. - Około dwudziestu pięciu milimetrów, widzi pani?

Odwróciła się znów do mnie i zaczęła macać mi brzuch. Na koniec napisała coś w mojej karcie i pozwoliła się ubrać.

Oszołomiona, potykając się, weszłam do niewielkiej kabiny, w której zostawiłam rzeczy.

- Termin porodu przypada mniej więcej na dwunastego kwietnia przyszłego roku - wyjaśniła ściszym głosem, ale ja i tak usłyszałam. - Pani córka będzie miała już piętnaście lat.

- Nadal nie mogę tego pojąć - powiedziała mama słabym głosem.

„Mam w sobie dziecko”. Kiedy drząc wciągałam na siebie dzinsy, dotykałam ostrożnie palcami brzucha. Potem wróciłyśmy do domu.

*

Przez następne godziny nie mogłam myśleć o niczym innym, jak tylko o tym, że nosiłam w sobie dziecko. Usiadłam na parapecie w swoim pokoju i w milczeniu spoglądałam na miasto.

Słyszałam, jak mama krząta się po domu, ale nie obchodziło mnie to nic a nic. Kilka razy dotarło do mnie, jakby z daleka, że do kogoś dzwoni. Rzeczywiście, tak musiało być, bo w pewnej chwili przyszedł Bernard, a potem Dawid ze swoimi rodzicami.

- Lilli, proszę, przyjdź tu do nas - zawołała. Jej głos nie brzmiał ani przyjaźnie, ani wrogo. Jednak jego ton był inny niż wcześniej.

Niechętnie poszłam do pokoju i oparłam się o framugę drzwi. Nie odważyłam się podnieść wzroku na przybyłych.

Kątem oka dostrzegłam trampki Dawida - siedział na sofie. Tuż obok nich zauważyłam skórzane buty jego taty.

Powiedziano mi, co stanie się później. Następnego przedpołudnia pójde do poradni dla ciężarnych dziewcząt, razem z mamą Dawida i ze swoją. Tam będę mogła porozmawiać o tym, co wydarzy się kolejnego tygodnia, i zapytać o wszystko, co mnie dotyczy.

A to, co się wydarzy, to aborcja.

- Nie musisz się tego obawiać - odezwała się mama, a ja zobaczyłam, jak jej nogi podążają w moim kierunku. Za chwilę głaskała już moje ramię.

- Czy mogę iść? - zapytałam szeptem.

Dostałam pozwolenie. Niepewnym krokiem wróciłam do swojego pokoju. Dawid został w dużym.

Oparłam czoło o zimną szybę i intensywnie wpatrywałam się w brzydką część naszego miasta. Czulałam się zmęczona, a wszystko to wydawało mi się tak bardzo nierealne.

Reszta tygodnia przetoczyła się obok mnie niczym lodowata fala i cały czas zdawało mi się, jakbym była niemym widzem, który ukradkiem towarzyszy jakiejś obcej dziewczynie w jej różnych zagadkowych działaniach.

Dziewczyna w obstawie dwóch nerwowych matek idzie do poradni dla ciężarnych dziewcząt.

Dziewczyna po raz drugi odwiedza panią ginekolog, która ją dokładnie bada.

Dziewczyna przez cały tydzień opuszcza lekcje w szkole.

Dziewczyna nie chce z nikim rozmawiać, z żadną przyjaciółką ani też z chłopakiem, który jest odpowiedzialny za wszystko, co *dziewczyna* przeżywa w tym tygodniu.

Tylko jeden jedyny raz *dziewczyna* odbiera telefon: kiedy dzwoni do niej pani w podeszłym wieku i radzi, by *dziewczyna* nie zapomniała, że to ona sama powinna podjąć decyzję.

- Nikt nie może za ciebie decydować - mówi starsza pani do *dziewczyny*. - Jakąkolwiek podejmiesz decyzję, każda będzie właściwa!

Ilekcóż inni jej na to pozwalają, *dziewczyna* siedzi po prostu beczynn timer, w ciszy, w swoim pokoju.

*

Minął ten tydzień, a ja znów poczułam się sobą.

- Lilli, idziesz? - zawołała mama, wsadzając głowę do pokoju przez uchylone drzwi. Siedziałam na parapecie i przyglądałam się czarnym wronom, które dziś znów się nagle pojawiły. Gdzie się podziewały przez cały ten czas? Ptaki zataczały, jak zwykle, kręgi i krakały zadowolone. Przynajmniej tak to brzmiało. Po raz pierwszy zauważyłam, że wszystkie wrony były jednakowej wielkości. Jak to możliwe? Czy nie miały żadnych dzieci?

- Lilli, proszę... - powiedziała mama, kładąc mi rękę na ramieniu. Jej dłoń była tak samo zimna jak moja. - Nie musisz się bać - dodała cicho. - Jeśli chcesz, wejdę tam razem z tobą i zostanę, aż będzie już po wszystkim. Obiecałam ci przecież.

Mama Dawida i moja mama wyjaśniły mi, że to, co mi będą robić, nawet nie dotrze do mojej świadomości, bo cały czas będę pod lekką narkozą.

- Pośpisz sobie troszkę, a gdy się znów obudzisz, będzie już po wszystkim - objaśniła ginekolog, która miała przeprowadzać zabieg. Była młoda i ładna i w ogóle nie wyglądała na lekarzkę. Bardziej przypominała prezenterkę VIVY albo MTV.

Razem z mamą wyszłam z mieszkania. W milczeniu stałyśmy w windzie, a potem wsiadłyśmy do naszego twingo i, nie zamieniwszy ze sobą w czasie drogi ani jednego słowa, zajęchałyśmy do kliniki, w której przeprowadzony miał być zabieg.

Dopiero kiedy stanęłyśmy na parkingu, odezwałam się szeptem:

- Ty jednak nie przerwałaś ciąży i urodziłaś mnie.

- Lilli, miałam dwadzieścia jeden lat, a ty masz dopiero czternaście...

Znów zamilkłam. Wsiadłyśmy z auta.

- Twoja mama też cię urodziła, choć zaszła w ciążę z księdzem - kontynuowałam ostrożnie, kiedy szłyśmy obok siebie przez parking.

- Ona też była dorosła - odparła mama, a w jej głosie wyczułam irytację. - Ale ty jesteś jeszcze dzieckiem.

Niespodziewanie przyszły mi na myśl słowa prababci Annaleny, które usłyszałam, gdy zadzwoniła do mnie. „Nikt nie może za ciebie decydować. Jakakolwiek podejmiesz decyzję, każda będzie właściwa!”

W tym momencie mój wzrok padł na szyld kliniki. Widniały na nim cztery nazwiska lekarzy, jedno pod drugim. Białe tło lśniło w porannym świetle. Za dziesięć dni dobiegał końca wrzesień. Teraz była jesień, wkrótce miała przyjść zima, a później znowu wiosna. Pomyślałam o naszej lipie w parku, pod którą tak chętnie siadałyśmy z Annaleną i Wiktorią - i zatrzymałam się.

W kwietniu urodziłoby się moje dziecko. Nagle przypomniałam sobie uśmiech Dawida i jego zielone oczy, pomyślałam o uczuciu, jakie żywiłam do niego.

„Lilli, kochana Lilli”, powiedział do mnie, kiedy kochaliśmy się w moim pokoju.

Popatrzyłam na mamę, a potem na fasadę kliniki. Później znów na mamę i na wrześniowe niebo nade mną.

- Nie pójde tam - usłyszałam swój głos. Jak powiedziałam, tak zrobiłam.

Nikt nie mógł mnie do tego zmusić.

Choć - oczywiście - próbowali. Moja mama i mama Dawida. Wychowawczynie w szkole. Pewnego dnia odwiedził mnie nawet tato i po raz pierwszy przekroczył próg naszego domu.

- Wystarczająco źle, że sprawy zaszły tak daleko - stwierdził, stojąc w moim pokoju, w którym nigdy wcześniej nie był i w którym okazywał się w pewnym stopniu intruzem.

Siedziałam na parapecie, nie patrząc na ojca.

- Umówiłam cię na nowy termin w klinice - poinformowała mnie mama, pojawiając się nagle. Na te słowa odwróciłam się. Spod na wpół przymkniętych powiek przyglądałam się rodzicom, kiedy tak stali obok siebie i patrzyli na mnie. Po raz pierwszy w życiu widziałam ich razem. Pomyślałam o tym, że jeden jedyny raz przesпали się ze sobą i od razu mnie spółdzili.

Dawid i ja spaliśmy ze sobą już trzy razy. I, w przeciwieństwie do moich rodziców, kochaliśmy się!

- Chcę mieć to dziecko - powiedziałam cicho. - A teraz wyjdźcie, proszę. Muszę sama wszystko przemyśleć.

Po południu przyszły Annalena i Wiktoria.

- Nie bądź głupia - przekonywała mnie Wiktoria. - Zniszczysz sobie życie, jeśli teraz urodzisz... to dziecko. Pomyśl: śmiertelne nudy i ciągły stres!

- Daj już spokój, Wiktorio! - przerwała jej Annalena i przytuliła mnie. Więcej nic nie powiedziała.

Wkrótce po tej rozmowie u drzwi wejściowych rozległ się dzwonek. To był Dawid.

- Naprawdę tego nie zrobiłaś? - spytał prawie szeptem.

Zaprzeczyłam ruchem głowy i popatrzyłam na niego. A Dawid nieoczekiwanie uśmiechnął się do mnie w ten swój charakterystyczny sposób.

- Też OK - odparł.

Spojrzelśmy na siebie, jego jasne rzęsy wyglądały tak, jakby padało na nie światło.

Miałam nadzieję, że dziecko odziedziczy po swoim tacie oczy i uśmiech.

*

- Dlaczego właściwie chcesz koniecznie zatrzymać to dziecko? - spytała mnie Annalena późnym popołudniem. Leżałyśmy obok siebie na moim łóżku. Mama przed chwilą wyszła z pokoju. Próbowwała rozmawiać ze mną o adopcji. Ale ja nie miałam na ten temat nic

do powiedzenia.

- Spójrz na to tak: dziecko będzie wychowywać się u miłych ludzi, którzy pragnęli własnego, ale sami nie mogą mieć - przekonywała mnie mama. - Co o tym myślisz? W poradni też o tym mówili, prawda?

Pokręciłam tylko głową, na co mama ciężko westchnęła.

- Lilli - podjęła znów z ostrożną nutą w głosie, która tak mnie drażniła. - Istnieje przy tym możliwość, żebyś od czasu do czasu... mogła dowiedzieć się, co się dzieje z dzieckiem. Rodzice adopcyjni mogliby ci też przysyłać jego zdjęcia...

Kręciłam przecząco głową. W końcu mama wstała i wyszła bez słowa.

Teraz zaś Annalena zadała mi w ciszy to pytanie, dlaczego koniecznie chcę zatrzymać dziecko.

- Nie wiem dokładnie - wyszeptałam z trudem i odchrząknęłam. Jeszcze nigdy nie mówiłam tak mało, jak w ostatnim czasie. - Po prostu ono należy już do mnie - ciągnęłam z wahaniem, spoglądając na przyjaciółkę. - I wspaniale wiedzieć, że będzie miało ojca! Ma o wiele lepiej niż ja. Będzie miało mamę i tatę, moja mama będzie jego babcią, a Bernard - przybranym dziadkiem. Rodzice Dawida są też przecież jego dziadkami. A trzech bracia Dawida - wujkami.

Usiadłam.

- Rodzina z prawdziwego zdarzenia! Będziemy wszyscy należeć do siebie i stworzymy prawdziwą rodzinę...

To była piękna myśl.

- A czy Dawid będzie dobrym ojcem? - zapytała sceptycznie Annalena. - Ze swoją perkusją i deskorolką?

- Myślę, że tak - odparłam pełna ufności.

- Naprawdę nie wiem, jak to dalej będzie - powiedziała mama, przysiadając się do mnie wieczorem na szeroki parapet. Bernard przygotowywał w kuchni kolację.

- Specjalnie dla ciebie pieczone ziemniaki z kwaśną śmietaną - rzekł, uśmiechając się do mnie zachęcająco.

Bernard był miły, naprawdę miły. O wiele bardziej od mojego własnego ojca, który był i, jak widać, pozostał mało wrażliwym człowiekiem.

- Zmarzłaś? - spytała mama. Przytaknęłam, nie spoglądając na nią. Objęła mnie ramieniem.

- Tak sobie myślałam, że powinniśmy się przeprowadzić - zaczęła w końcu z ociąganiem. - Teraz, kiedy twój tato płaci w końcu na ciebie alimenty...

Nie odezwałam się.

- Bernard też się do tego dołoży - ciągnęła. - Potrzebujemy większej przestrzeni. W tej ciasnocie zaczynam już wariować.

Nie skomentowałam tego.

- Lilli, czy twoja decyzja jest nieodwołalna? Kiwnęłam głową.

- Ze wszystkimi jej konsekwencjami? Znów przytaknęłam.

- Wkrótce twoja... ciąża stanie się widoczna - powiedziała mama, odsuwając Gandalfa, który wcisnął się między nas, głośno mruczając.

- Będziesz musiała chodzić do szkoły aż do lutego - dodała. - W Niemczech mamy przecież obowiązek nauki. I to bez wyjątku - także w twojej sytuacji.

Na dworze zrobiło się już ciemno, w domach paliły się żarówki, setki, a może nawet tysiące. Pięknie to wyglądało. Zapatrzyłam się w to morze świateł. Ten widok działał na mnie kojąco.

Nagle poczułam bardzo bliską więź ze swoim dzieckiem. Teraz należało ono wyłącznie do mnie. Znało tylko mnie i moje ciało, które miało je chronić tak długo, aż będzie wystarczająco duże, by przyjść na ten skomplikowany świat. Próbowałam sobie wyobrazić, że dobrze pójdzie mi poród, ale jakoś nie potrafiłam. A może będzie bardzo bolesny?

Teraz ojcowie najczęściej są obecni w szpitalu przy porodzie swoich dzieci. Ale ja sobie tego nie życzyłam. Dawid nie może mnie zobaczyć w takim stanie, w żadnym wypadku. Lepiej gdyby czekał gdzieś na zewnątrz i potem, kiedy będzie już po wszystkim, wszedł na salę i jako pierwszy wziął na ręce nasze dziecko. Czy to nie wtedy należy przeciąć pępowinę?

Pogrążona w myślach, macałam brzuch, który zdawał się być taki sam jak zawsze. Kiedy zaczniesz się zmieniać? I jak to odczuję? Nasuwały mi się tysiące pytań, na które nie znalazłam odpowiedzi. Jak to będzie, kiedy już urodzę? Jak będzie wyglądać dziecko? Czy to będzie chłopiec, czy dziewczynka? A Dawid? Jakim będzie ojcem?

Oparłam czoło o zimną szybę okienną, nadal wpatrując się w migocące światła.

W głowie miałam teraz kompletny mętlik, ale jedno sobie solennie obiecałam: będę dobrą matką.

- Czy zastanawiałaś się, jak to dalej będzie, kiedy już urodzisz? - usłyszałam w tym momencie mamę. - Będziesz musiała wrócić do szkoły. Kto wobec tego w przedpołudnia zostanie w domu z dzieckiem?

- Też tego nie wiem - szepnęłam, by nikt mnie nie słyszał, a potem rozplakałam się.

Pomału wszyscy przywykli do mojego odmiennego stanu.

- Ale będzie radość - powiedział ojciec Dawida.

- Zostanę wujkiem! - oświadczył Bastian.

- My też! - dodali Justus i Leon.

- Od tego świat się nie zawali - zauważył Bernard. - Jeśli już tak koniecznie chcesz sobie zniszczyć przyszłość, proszę bardzo... - skomentował moją decyzję tato.

- Już zaczynam się cieszyć! - usłyszałam, otrzymując w prezencie malutkie śpioszki, od prababci Annaleny.

- Na początku przestawię dyżury w szpitalu - oznajmiła mama. - Ale popołudnia, wieczory i noce musicie sobie z Dawidem zorganizować sami, Lilli.

- Całkiem porąbane! Zostanę ojcem... - powiedział mój chłopak, głaszcząc mnie po płaskim na razie brzuchu.

- Lilli, jesteś teraz w dwunastym tygodniu - usłyszałam u ginekologa. Lekarka pokazała mi na monitorze malutką czarno - białą istotkę, która leżała w ciemnej otchłani i potrząsała drobnymi rączkami. W środku dostrzegłam jasną, pulsującą plamkę.

- To jest serce - wyjaśniła pani doktor.

- Klek, klek, klek - uwaga: bociani alarm! Lilli robi się gruba jak beczka! - wykrzykiwał Wiktor z mojej klasy.

- Pomogę ci we wszystkim, Lilli - ofiarowała się Annalena.

- Ja oczywiście też - dodała Wiktoria.

*

W tym całym zamieszaniu Dawidowi źle poszło przesłuchanie do orkiestry młodzieżowej.

- Spróbuję jeszcze raz w przyszłym roku - zwierzył mi się załamany. - Niech to diabli! Po prostu nie mogłem się skoncentrować. No i kiedy wyszła ta sprawa z tobą i ciążą, mniej ćwiczyłem.

Spojrzelśmy po sobie. Zdawało mi się, że Dawid był tak samo podenerwowany jak ja.

Na dworze padało. Był pierwszy listopada. Nazajutrz rano mój chłopak miał jechać ze swoją klasą na dwutygodniowy kurs do Weimaru.

Przez ostatnie tygodnie byliśmy prawie nierozłączni. Jednak nie przespaliśmy się ze sobą ani razu.

- Idziemy do łóżka? - próbował namówić mnie Dawid, jak to czynił wcześniej.

- Raczej nie - odmówiłam.

- Dlaczego nie? Nie podobało ci się?

- Podobało.

- To dlaczego nie chcesz tego powtórzyć? - spytał.

Wzruszyłam ramionami. W książce poświęconej ciąży wyczytałam, że dziecko mierzy teraz niespełna szesnaście centymetrów. Jest więc prawie wielkości mojej rozprostowanej dłoni! Niby tak duże, lecz nadal malutkie. Mój brzuch był ciągle jeszcze płaski. Czasami zdawało mi się, że to wszystko sen: zwariowany, pogmatwany sen.

Było też napisane, że w czasie ciąży można spokojnie uprawiać seks, że to nie szkodzi dziecku. Ja mimo to obawiałam się.

- To co, już mnie nie kochasz? - dopytywał się Dawid.

- Kocham - odparłam. Najchętniej przejrzałabym teraz tę książkę wspólnie z nim, ale wiedziałam, że nie zechce.

„ Takie zdjęcia uważam za wyjątkowo obrzydliwe - powiedział kilka tygodni temu. - Jak ujęcia obślizgłych stworów z Księżycy...”

- Zadzwoń z Weimaru - obiecał na odchodnym. Miriam oczywiście też jechała na ten kurs. Razem z Dawidem i z innymi kolegami i koleżankami z klasy.

Dwa tygodnie będzie go mieć tylko dla siebie.

- Chciałabym, żebyś został ze mną - powiedziałam, kiedy staliśmy w otwartych drzwiach mieszkania.

Jednak on musiał jechać.

*

Bernard pokazał zdjęcia ulicy w swojej galerii. Tydzień po tym w lokalnej gazecie ukazał się nawet krótki artykuł o mojej wystawie.

- Dlaczego właściwie już nie robisz zdjęć? - zainteresował się owego dnia.

- Nie wiem - mruknęłam, wzruszając ramionami.

W tych dniach mama ciągle bywała poza domem. Kiedy nie była w szpitalu, wychodziła w „sprawie drewna”, jak to sama nazwała. Planowała bowiem wystawę na temat „Doświadczyć drewna”, z eksponatami z tego właśnie materiału, który miała zamiar opiłować, oszlifować, naoliwić, wypolerować lub też jakoś inaczej obrobić.

- Dla zobrazowania każdego uczucia - odpowiedni rodzaj drewna i odpowiednia forma - wyjaśniła któregoś wieczoru przy kolacji mnie i Bernardowi.

W połowie listopada wrócił Dawid.

- Czy może dzisiaj u nas spać? - spytałam mamę, która właśnie piłowała. Całe

mieszkanie wyglądało jak tartak, z głośników zaś rozlegał się śpiew Freda Astaire'a.

Wydawało mi się idiotyczne, że za pięć miesięcy urodzę dziecko, lecz mimo to muszę wszystkich prosić o pozwolenie jak niegdyś.

- Nie macie jutro przypadkiem klasówki z matematyki? - zainteresowała się mama, a kiedy przytaknęłam, naturalnie nie wyraziła zgody.

- Będziecie siedzieć do późna, jutro wstaniesz niewyspana i zawalisz klasówkę - skwitowała, po czym wróciła do przerwanej czynności.

Rozzłoszczona poszłam do swojego pokoju i z hukiem zatrzęsłam za sobą drzwi. I w tym momencie stało się: poczułam gdzieś głęboko w brzuchu lekkie ruchy. Tak, jakby ktoś ostrożnie pukał od wewnątrz.

Zatrzymałam się na środku pokoju i nie odważyłam poruszyć.

„To dziecko”.

Później, tuż przed pójściem spać, opowiedziałam o tym mamie.

- Mam wrażenie, jakby w brzuchu pękały mi małe bańki mydlane - powiedziałam ostrożnie. Ostrożnie, bo mama zawsze robiła taką mało wesołą minę, kiedy niezamierzenie przypominałam jej o mojej niewidocznej jeszcze ciąży.

Ale tym razem zaśmiała się. Opowiedziała mi, jak to było, kiedy po raz pierwszy poczuła moje kopanie. Pamiętała nawet dokładną datę!

Nagle zrobiło mi się smutno. Po prostu dlatego, że mama wtedy nie miała nikogo, z kim mogłaby się podzielić swoją radością.

Ja skończyłam dopiero czternaście lat, lecz miałam Dawida. Chwyciłam więc telefon, wsunęłam się pod kołdrę w gwiazdki i zadzwoniłam do mojego chłopaka.

- Ale odjazd... - tymi słowami zareagował na wiadomość, że po raz pierwszy poczułam ruchy jego dziecka.

*

- Nic nie czuję - stwierdził następnego dnia.

- O, znowu kopie - odparłam, przyciągając dłoń Dawida do mojego brzucha.

- Nic... - rozczarowany wzruszył ramionami. - Ale twój brzusek trochę się zmienił. Jest ładniutki.

Dawid uśmiechnął się, po czym, zginając się tuż nade mną, złożył swoje wąskie dłonie w rurkę i krzyknął przez nią:

- Hej, ty tam w środku! Mówi twój tatuś! Słyszysz mnie? Kiedy na mnie spojrzał, na twarzy malowało mu się zakłopotanie.

- Tatuś! Jak to brzmi! Dziecko mogłoby na mnie wołać! zwyczajnie: Dawid, nie? Dawid i Lilli.

Nie zgadzałam się z nim, powtarzałam w duchu: „Mama i tata”. Zachowałam to jednak dla siebie.

Z każdym dniem ruchy dziecka przybierały na sile.

- Jak je nazwiemy? - spytał któregoś dnia Dawid. Nie zastanawialiśmy się nad tym do tej pory.

- Robbie? - zapytałam z ociąganiem.

- Sarah? - wymyślił Dawid.

- Kevin? - podsunęłam.

- Allie? - zaproponował mój chłopak.

- Podoba mi się imię Finn - powiedziałam, opierając się o Dawida. - Tak nazywał się pewien chłopiec w Norwegii, którego znałam, kiedy miałam sześć lat.

Dawid kiwnął głową.

- A mnie podoba się Mia - odparł i objął mnie ramieniem. „Lilli, Dawid i Finn”.

„Lilli, Dawid i Mia”.

Tej nocy po raz czwarty spałam z Dawidem. Jego ciało wydawało się takie ciepłe i czułe, kochał mnie tak delikatnie i ostrożnie.

- Śmieszne, że dziecko było przy tym, kiedy to robiliśmy - powiedział po wszystkim. - Było przy tym, a jednocześnie nie było.

*

Do Bożego Narodzenia ani razu nie padał śnieg. Wigilię spędziłam z mamą i Bernardem.

Dawid został ze swoją rodziną. Było tak, jakbym w ogóle nie nosiła w brzuchu tego dziecka.

Tato przysłał mi na święta pięćset euro.

Mama wynalazła na pchlim targu stuletnią kołyskę w esy - floresy. Odnowiła ją i naoliwiła. Kolebka była przepiękna!

Rodzice Dawida sprezentowali nam nowiuteńki wózek dziecienny.

Z kolei od Annaleny i Wiktorii otrzymałam duże opakowanie pampersów dla noworodków.

Od Dawida dostałam dwadzieścia cztery filmy do mojego nikona.

Natomiast prababcia Annaleny podarowała mi śliczną czarną sukienkę mini.

- Na potem - powiedziała, spoglądając z uśmiechem na mój zaokrąglony brzuch.

Ja i mój brzuch.

- Nienawidzę, kiedy tak wszyscy się na niego gapią - zwierzyłam się Annaleni. - W szkole, na ulicy - wszędzie mi się przypatrują!

Czułam się jak napiętnowana. Uczniowie z młodszych klas na mój widok wpadali na siebie z chichotem. Zresztą, tak samo zachowywali się starsi. Wszędzie, gdzie tylko się ruszyłam, czułam na sobie ciekawskie spojrzenia.

Kiedyś na ulicy zagadnął mnie starszy pan:

- Dziewczyno, dlaczego od razu rozstawiałaś nogi? - spytał, patrząc na mnie z oburzeniem. - Co za wstyd! - dodał ze złością i powoli odszedł.

Innym razem Dawid pociągnął mnie nagle za ramię, kiedy wychodziliśmy z kina.

- Chodź, przejdźmy na drugą stronę - zaproponował niespodziewanie.

- Dlaczego? - przystanęłam w pół kroku. Parę sekund później zrozumiałam przyczynę jego dziwnego zachowania. Przed nami wyrosło pięciu lub może sześciu kolegów z jego klasy.

- O, jaki zaszczyt! - powiedział jeden z nich i zaśmiał się szyderczo. - Maria i Józef w drodze do stajenki...

- Przestań! - sapnął czerwony jak burak Dawid.

- Raz posunął i od razu ciąża, co? - dodał złośliwie drugi, gapiąc się na mój brzuch.

- Chodź, znikamy - szepnął do mnie Dawid i tym razem nie protestowałam, gdy pociągnął mnie na drugą stronę ulicy. Drwiący śmiech zapadł mi głęboko w serce.

- Trzeba było wziąć sobie lepiej Miriam, co, Dawid?! - zawołał za nami trzeci z kumpli. - Na pewno nie wpakowałyby cię od razu w pieluchy!

Zerknęłam na Dawida z boku - stawiał ogromne kroki i patrzył przed siebie ze złością.

Aż do drzwi jego domu nie zamieniliśmy ze sobą ani słowa. Wprawdzie milczeliśmy, ale trzymaliśmy się za ręce.

A w moim brzuchu kopało nasze dziecko.

*

- Dzwoniła Miriam - oznajmiła matka Dawida po przywitaniu się z nami.

Skuliłam się na te słowa, a mój chłopak spojrział na mnie.

- To tylko z powodu perkusji - wyjaśnił szybko. - Sprzedaję jej jeden z moich talerzy.

Obronnym gestem otoczyłam rękoma brzuch. Przypomniałam sobie słowa, które wołali za nami chłopcy. Wiedziałam, że Dawid też o tym myśli.

- Nic mnie nie łączy z Miriam, naprawdę - powiedział, po czym poszliśmy na górę do jego pokoju.



Byłam rozlazła, gruba i ociężała.

Dzisiaj Dawid z chłopakami ze swojego zespołu występował na jakiejś imprezie walentynkowej.

Miałam przeczucie, że Miriam też się na nią wybrała. Razem z innymi dziewczynami z klasy Dawida.

Wiktoria od ubiegłego tygodnia znów chodziła z nowym chłopakiem. Poznała go w autobusie. Dzisiaj umówiła się z nim do kina.

A Annalena wystawiała swoją sztukę o 11 września w ewangelickim domu kultury.

- Chcesz zająć się muzyką, jak ostatnim razem? - spytała mnie. Byłam w ósmym miesiącu ciąży i wyglądałam jak gruby, ociężały hipopotam. Mama kupiła mi w sklepie z odzieżą dla kobiet ciężarnych trzy pary dżinsów. Były okropne, tak samo jak swetry, które miałam teraz do wyboru. Obojętnie, co na siebie włożyłam, wszystko opinało się na moim grubym brzuchu.

Dlatego załamana odmówiłam przyjaciółce i wyparłam z pamięci wspomnienie pierwszego przedstawienia Annaleny, podczas którego siedziałam z boku sceny i wszystko było jeszcze w porządku.

Czułam się chora. Ciągle brakowało mi tchu, dokuczał mi ból pleców, nie wysypiałam się w nocy, a kiedy już udało mi się zasnąć, dziecko zaczynało się przewracać. Widziałam na brzuchu wypukłości, które unosiły się i znikały.

Dawid i ja nie sypialiśmy już ze sobą.

Nie miałam siły na nic. Na wyjście na dwór, na grę na wiolonczeli, na fotografowanie czy na cokolwiek innego.

Do tego całego rozgardiaszu doszła jeszcze przeprowadzka do nowego domu. Zamieszkaliśmy razem - mama, Bernard i ja. Z nami zaś nasz stary kot Gandalf i niespokojne dziecko w moim brzuchu.

Ostatni raz siedziałam w swoim starym pokoju, patrząc w niebo - usadowiłam się na stosie zapakowanych pudeł. Potem przenieśliśmy się na drugi koniec miasta do dużego mieszkania na parterze, w starym budownictwie. Niestety, nad oknem mojego nowego pokoju znajdował się balkon, z parapetu więc mogłam dojrzeć jedynie mały skrawek nieba. Za to ten pokój był prawie dwa razy większy od poprzedniego. I od domu Dawida dzieliło mnie teraz tylko sześć przystanków autobusowych. - Tu jest fantastycznie - podsumowała Annalena,

która pomagała nam przy przeprowadzce.

Westchnęłam i opadłam ciężko na jedno ze stojących pudeł. Dawid też z nami był. Wnosił z Bernardem meble. Mama i przyjaciółka również ciężko pracowały przez cały dzień. Późnym popołudniem przyszli rodzice mojego chłopaka, by nam pomoc. Tylko Gandalf i ja byliśmy bezużyteczni i zawadzaliśmy wszystkim.

W pewnej chwili kot miał już chyba dość zamieszania panującego wokół i czmychnął przez otwarte drzwi mieszkania.

- Lilli, kot uciekł! - krzyknął Bernard.

- Zaraz go przyniosę!

Wstałam, zadowolona, że na coś wreszcie mogę się przydać. Jednak na klatce schodowej wpadłam prosto na starszą panią, która właśnie zamierzała zamknąć drzwi mieszkania naprzeciwko.

- Wielkie nieba! - zawołała na mój widok. - Dziecko, przecież ty jesteś w ciąży! To straszne...

Stałyśmy twarzą w twarz, podczas gdy Gandalf niepostrzeżenie przemknął do sąsiedniego mieszkania. Nie odważyłam się go zawołać.

- Ile masz lat? - spytała kobieta, lustrując mnie wzrokiem, jak jakieś kuriozum.

- Szesnaście - skłamałam gładko.

- A więc rzeczywiście prawie jeszcze dziecko! - mruknęła, kręcąc z dezaprobatą głową. Potem weszła do siebie. Patrzyłam za nią z bijącym sercem.

Kilka minut później zadzwoniła rozgniewana do naszych drzwi i bez słowa wręczyła mi mojego kota.

Dawid nie uśmiechał się już tak często w ten swój specyficzny sposób.

- Dlaczego jesteś taki zabawny? - spytałam z przekorą.

- Jak to? Co takiego robię? - odparł pytaniem na pytanie. Nic nie rzekłam. Bo niby co miałam mu powiedzieć? „Prawie w ogóle mnie nie całujesz”? „Już nie chcesz ze mną spać”? „Rzadko mnie dotykasz”? „Już się prawie nie uśmiechasz”?

- Pójdziemy dziś wieczorem do domu kultury? - odezwał się po długiej chwili milczenia.

Siedziałam na łóżku i spoglądałam przez okno, tęskniłam jednak za moim niebem i chmarą ptaków.

- Ej, Lilli, powiedz coś wreszcie! - zniecierpliwił się. - Co?

Dawid westchnął.

- W domu kultury wyświetlają dziś „Władcę pierścieni”. - No to mogę sobie odpuścić

- mruknełam. - W ogóle nie chcesz nigdzie wychodzić. Teraz w jego głosie wyczułam rozdrażnienie.

- Wspaniale, powinnam usiąść na środku sali w domu kultury i wystawić siebie na pośmiewisko?!

Patrzyliśmy na siebie.

- Lilli, przecież chciałaś... to dziecko - odparł w końcu ściszym głosem.

Ze wściekłości zacisnęłam powieki.

- Tak, a ty nie?! - parsknęłam ze złością.

- Tak, oczywiście, że tak... - przytaknął szybko.

- Czy ty w ogóle mnie jeszcze kochasz? - spytałam w końcu.

- Tak - powiedział Dawid i uśmiechnął się do mnie. - Nawet jeśli ostatnio wszystko jest takie skomplikowane.

Kiwnęłam głową i położyłam rękę na jego kolanie. Jednak potem on i tak poszedł na film, a ja zostałam w domu.

*

Kilka dni później, kiedy szykowałam się już do spania, podsłuchiłam mamę, jak rozmawia z Bernardem. Siedzieli w dużym pokoju na pieńkach, które mama dostała tego ranka od leśnika. Były to dwa brakujące eksponaty na jej wystawę z drewna.

- Ostatnio nie mogę znieść jej widoku - powiedziała mama i znów jej głos stał się piskliwy. - Z tym dużym brzuchem wydaje mi się taka obca. Dlaczego musiała w ogóle przespać się z Dawidem? Dlaczego to tak szybko się potoczyło? Przecież on jest dopiero jej pierwszym chłopakiem. Dlaczego nie dała sobie trochę czasu? A teraz jest taka zmieniona, poważna i dorosła - i zupełnie się w sobie zamknęła.

Nie wiem, co odpowiedział Bernard, bo uciekłam tak szybko jak to tylko możliwe, do swojego pokoju, w którym w jednym kącie stała już kołyska, a w drugim - jeszcze nierozpakowana - komódka z IKE - i do przewijania dziecka.

- Do diabła, mam tego dosyć - rzuciłam do siebie i zrozpaczona wdrapałam się ociężale na łóżko niczym ranny mors.

Dziecko w brzuchu przewracało się tak niespokojnie, jakby podzielało moje emocje.

*

Nadszedł mój ostatni dzień w szkole. Koleżanki i koledzy z klasy podarowali mi śpioszki i płytę CD z odgłosami delfinów, moja wychowawczyni - podręcznik, jak opiekować się noworodkiem, a od nauczycielki wychowania o sztuce dostałam album ze zdjęciami

słynnej amerykańskiej fotograficzki.

Przed szkołą, w samochodzie, czekała na mnie mama. Annalena pojechała razem z nami do domu.

- Ale w przyszłym roku wrócisz do szkoły, tak? - spytała przyjaciółka.

Przytaknęłam. Cokolwiek będzie, do szkoły muszę chodzić. To wyjaśnili mi w urzędzie ds. młodzieży. Albo mama zajmie się dzieckiem przedpołudniami, albo - o ile znajdzie się miejsce - wyśle się je do żłobka.

Wsluchiwałam się tego dnia w siebie. Dzidzius nie poruszył się ani razu. Czy coś mu się mogło stać? Do tej pory prawie zawsze się ruszał!

W domu zdenerwowana zamknęłam się w łazience, a potem zrobiłam coś zupełnie zwariowanego: pukałam w mój okrągły brzuch. I nagle poczułam puknięcie od środka. To było takie uczucie, jakby dzidzius wysłał mi pierwsze, bardzo osobiste pozdrowienia i pokazał, że żyje.

„Pozdrowienia od dziecka dla jego mamy”. A jego mamą jestem ja! Nawet jeśli trudno to sobie wyobrazić...

*

Kilka dni później wypadały moje piętnaste urodziny. Jak każdego roku, przyszły Annalena i Wiktoria. Lecz Wiktoria przyprowadziła tym razem swojego nowego chłopaka, Gustawa.

Odwiedził mnie także Dawid ze swoimi rodzicami i rodzeństwem.

- No jak tam, wiecie już, czy to przynajmniej będzie dziewczynka? - dowiadywał się ojciec Dawida, patrząc na mój brzuch.

Pokręciłam głową, nie przestając rozpakowywać prezentów.

Wiedziałam, że rodzice mojego chłopaka pragnęli wnuczki, gdyż mi kiedyś bezskutecznie oczekiwali córeczki. Jednak mojej lekarce nie udało się do tej pory przy żadnym z badań USG odkryć tej tajemnicy.

Mój tato nie przyszedł. Ale zadzwonił, poza tym przesłał mi znów, jak na Boże Narodzenie, pięćset euro. Jeszcze trochę, a stanę się naprawdę bogata!

*

Na zewnątrz panowała wiosna, prawdziwa wiosna. Od wielu dni słońce zaglądało do mojego pokoju. W parku na pewno zazieleniła się już nad stawem lipa, za którą tęskniłam zimą. Teraz jednak chęć zobaczenia jej minęła. Od niedawna spotykali się pod nią Wiktoria z Gustawem. Powiedziała mi o tym Annalena.

- Wiktoria też to już zrobiła - przyjaciółka oznajmiła mi któregoś dnia przez telefon.

- Co zrobiła? - spytałam.

- No, przespała się. Z Gustawem - wyjaśniła Annalena. - Ale przezornie użyli prezerwatywy.

Nic na to nie odparłam. Kiedy skończyłyśmy rozmowę, jak zwykle od wielu dni zaniiosłam do siebie telewizor z dużego pokoju i postawiłam na półce. Gapiłam się godzinami w ekran. Teleturnieje, programy muzyczne i inne rozrywkowe lub reklamy. W gruncie rzeczy było mi wszystko jedno, co leciało. Po prostu leżałam na boku w łóżku, mój ciężki brzuch wspierałam na poduszkach i o niczym nie myślałam.

Dawid od kilku tygodni dodatkowo grał na saksofonie. Ze swoim nowym instrumentem zaszył się u siebie w domu. Wiktoria była ciągle zajęta Gustawem. Nawet Annalena miała ostatnio mniej czasu. Niedawno dołączyła do młodzieżowej grupy teatralnej.

Któregoś wieczoru przyszła do mojego pokoju mama. Przyniosła ze sobą stos kaset wideo. Położyła je ostrożnie obok mnie na kocu. Ja wciąż patrzyłam w szklany ekran. - Ciągłe oglądasz te głupie programy - westchnęła, sadowiac się na łóżku, obok kaset. - Lilli, zrozum, jesteś w ciąży, a nie chora...

Nie wiedziałam, co odpowiedzieć, ponieważ naprawdę bardzo źle się czułam. Od kilku tygodni miałam silne bóle w pupie, a kilka dni temu wymacałam tam trzy grube guzki, które zaczęły krwawić. Najpierw z nikim o nich nie rozmawiałam, chociaż martwiłam się tym, ale podczas ostatniej wizyty kontrolnej odkryła je lekarka i wyjaśniła mi, że to są hemoroidy: małe, nabrzmiące żyły, i że często występują u ciężarnych kobiet. Dała mi na nie maść. Ale pupa nadal mnie bolała, ledwo mogłam siedzieć.

Nie tak sobie to wszystko wyobrażałam.

- Lilli, kiedy byłam z tobą w ciąży, też bywały dni, gdy się smuciłam, i wtedy odkryłam te filmy...

Mama wskazała cztery kasety wideo. „Don Camillo i Peppone”, odczytałam napis na leżącej najwyżej. Pozostałe filmy wydawały się być kolejnymi częściami tego na górze.

- Chcesz obejrzeć? - spytała mama.

- Nie wiem - mruknęłam sceptycznie. Jednak później obie obejrzałyśmy pierwszy film. Po dwóch godzinach - drugą jego część. Następnego dnia - trzecią i czwartą.

Po raz pierwszy od dłuższego czasu szczerze się uśmiełam, razem z mamą.

Czasami też z Dawidem, kiedy akurat wpadł do nas i oglądał z nami.

Prawie przez dwa tygodnie co wieczór oglądałam „Don Camilla i Peppone”.

A potem - potem na świat przyszło moje dziecko.

*

Zaczęło się rano, kiedy dopiero co wstałam z łóżka i poszłam do kuchni, by nakarmić Gandalfa. Nagle poczułam ciekący mi po nogach strumień ciepłej wody.

- Mamo! - krzyknęłam przestraszona.

Potem Bernard i mama zawieźli mnie do szpitala, w którym już raz byliśmy przed kilkoma tygodniami, aby mnie zapisać.

Po drodze mama zadzwoniła do rodziców Dawida. Mój chłopak był w tym czasie w szkole.

Miał dobrze, w przeciwieństwie do mnie...

To była ostatnia jasna myśl, zanim nastąpiły dla mnie długie, długie godziny.

Miałam bóle, okropne bóle. Jak przez mgłę widziałam, że podłączono mój brzuch do monitora, który głośno odtwarzał bicie serca mojego dziecka.

Bum, bum - bum, bum - bum, bum - bum, bum...

Mało nie zwariowałam od tego hałasu. Chwilę leżałam bez ruchu na szpitalnym łóżku, później zawieźli mnie do dużej wanny, a jeszcze później miałam usiąść na krześle o dziwacznych kształtach.

- Nasz fotel porodowy... - wyjaśniła mamie jedna z pielęgniarek. Mama Dawida też tam była. Potem przyszedł sam Dawid.

- Lilli, kochana Lilli - powiedział zdenerwowany i przestraszony. Ja cicho płakałam.

- Boli, boli! - z sąsiedniego pomieszczenia dobiegł mnie wrzask jakiejś kobiety.

- Au, au, au - jęczałam, by uniknąć krzyku.

- Mamo! Niech to się już skończy! - darłam się godzinę później.

- Mamo! Gdzie jest Dawid? - spytałam w pewnej chwili, szlochając.

- Wyszedł dosłownie na chwilę - odparła, głaszcząc mnie po twarzy.

- Ja nie wytrzymam dłużej! - krzyknęłam, gdy mój chłopak znowu był przy mnie.

Cały brzuch zdawał się być w płomieniach.

Dostałam w kręgosłup zastrzyk znieczulający. Leżałam teraz znów na łóżku i nareszcie opuściły mnie bóle. Zdrzemnąłam się, na zewnątrz panowała już noc.

Dawida teraz nie było. Słabo przypominałam sobie, jak przed kilkoma godzinami blady pochylał się nade mną i coś mówił. Widocznie poszedł do domu. Także jego mamy nie widziałam już od dłuższego czasu.

Było mi to zupełnie obojętne, wszystko było mi obojętne tamtej nocy. Obok mnie pracowało cicho urządzenie, rejestrujące każdy skurcz, choć ja już nic nie czułam.

- Mamo, niech to się skończy - szepnęłam. Miałam dosyć, chciałam znaleźć się z powrotem w domu, w swoim pokoju i nie mieć nic wspólnego z tym, co się tu działo.

Chciałam posłuchać muzyki, usiąść w parku pod lipą, pójść potańczyć, zjeść pizzę u „Luigiego”...

- Mam już dosyć. Nie chcę tego dziecka. Jestem całkiem wykończona...

- Nie, Lilli, nie jesteś wykończona - odparła mama. - Dasz radę, na pewno!

Oczy mi się kleiły i w końcu zasnąłam. Jakie miłe uczucie... Ale chwilę później coś brutalnie mnie obudziło. Straszne! Powróciły bóle!

- Mamo! - krzyknęłam. Na zewnątrz było jasno. Promienie słoneczne wdzierały się przez okno, jakby chciały pokazać, gdzie jest wolność i życie. Oczywiście, tam na zewnątrz, do tego świata i ja należałam!

- Nie chcę żadnego dziecka - załkałam. - Mamo, niech to się skończy...

A potem wszystko potoczyło się błyskawicznie. To był najgorszy ból w moim życiu, jednak trwał krótko i szybko było już po wszystkim.

Gdzieś w pobliżu rozległ się cienki płacz, zakryłam twarz dłońmi i rozplakałam się.

- To chłopiec!

Ktoś krzyknął jakby z daleka. Jednak ja dalej leżałam z zamkniętymi oczami i czułam, jak spod powiek spływają mi po policzkach gorące łzy.

Nie powiedziałam ani jednego słowa.

Przez trzy dni.

Najpierw położyli mi mokrego noworodka na brzuchu, ale gdy rzuciłam szybkie spojrzenie na to, co tam leżało, odwróciłam głowę w drugą stronę i przerażona zacisnęłam powieki.

Coś było nie tak z tym... dzieckiem? Nie wyglądało normalnie. Było potwornie czerwone i pomarszczone, poza tym całe ciało pokryte miało krwią i sinawą, wyglądającą na kleistą, mazią. Wydawało ciche, dziwaczne odgłosy, które brzmiały jak skrzek lub kaszel, a jednocześnie prawie jak płacz.

- Jakie śliczne dziecko - usłyszałam jakiś głos gdzieś nade mną. Z pewnością ten ktoś nie miał na myśli stworzenia, które położono mi na brzuchu. Wydawało się ciężkie i obślizgłe, o wiele cięższe niż dziecko, które nosiłam w sobie. Miałam wrażenie, że się zaraz zsunie. Ja jednak nie mogłam się ruszyć. Leżałam sztywna, aż wreszcie zostałam uwolniona od tego balastu i okryta ciepłym kocem.

Czułam się jak ranne, opuszczone zwierzę. W tym samym momencie rozległ się krzyk noworodka. Nagle jego głos zabrzmiał głośno i przenikliwie.

- Lilli, twoje dziecko jest głodne. Chcesz je nakarmić? Nic nie odpowiedziałam, tylko mocniej zacisnęłam powieki, jakby mnie tu nie było. Najchętniej zatkałabym sobie też uszy. Poczułam, że ktoś dotyka mojego ramienia.

- Lilli, chcesz, bym ci pokazała, jak masz ułożyć sobie dziecko przy piersi?

To była jedna z akuszerok.

Wykrzywiłam twarz w grymasie i nieznacznie pokręciłam głową. Chciałam mieć w końcu spokój, zostać sama i wypocząć. Spać i spać. Rozmowa o moich piersiach wydała mi się krępująca i przykra, a myśl, że dziecko ma z nich ssać, była dla mnie jeszcze gorsza.

- Cóż, mały dostanie teraz butelkę, a potem się zobaczy - powiedziała w końcu akuszerka, wkładając mi jednocześnie pod piżamę podpaskę. Zrobiła to w ułamku sekundy, ale poczułam się okropnie. Wszystko, co się tu działo, nie miało według mnie nic wspólnego z tym, co zeszłego lata robiliśmy z Dawidem. Czułam się upokorzona i skompromitowana.

- Możesz później spróbować karmienia piersią - usłyszałam nagle cichy głos mojej mamy. Zupełnie zapomniałam, że cały czas była przy mnie. Uporczywie milczałam, w głębi duszy wiedziałam, że w żadnym wypadku nie będę karmić piersią tego dziecka.

Po południu znowu mi je przynieśli. Mama trzymała małego na kolanach i karmiła butelką. Kątem oka zerknęłam na niego. Był owinięty jasnoniebieskim kocykiem, a na

głowie miał białą czapeczkę. Na szczęście nic więcej nie było widać. Usłyszałam, jak cicho przełyka. Odwróciłam się do ściany.

Raz się zachłysnął, a potem zaczął płakać cienko i żałośnie.

- No, spójrz wreszcie na niego - powiedziała mama. - Jest[taki śliczny i wygląda zupełnie jak ty, kiedy byłaś mała.

Pokręciłam przecząco głową. Czułam się całkowicie wyczerpana. Ostrożnie wsunęłam rękę pod szpitalną kołdrę i dotknęłam brzucha. Okazał się teraz tak samo płaski jak niegdyś. Odkryłam jednak pewną różnicę - był o wiele bardziej miękki. Niemile rozczarowana szybko cofnęłam rękę. Mój brzuch znów był pusty i lekki - i to, mimo wszystko, ucieszyło mnie. Ale gdzieś w środku miałam świadomość, że czegoś mi brakuje: delikatnych ruchów dziecka, które tworzyły między nami niewidzialną więź. Tak bardzo do nich przywykłam, z czasem były mi tak znajome. Lecz z tym małym, zawiniętym niemowlakiem w ramionach mojej matki nie czułam żadnej więzi. Był mi zupełnie, ale to zupełnie obojętny i obcy!

Później przyszedł Dawid ze swoją rodziną. Jego mama przyniosła mi duży bukiet dzwonek, a tato zrobił zdjęcie małemu.

- No i znowu chłopak - powiedział, kręcąc głową, jednak uśmiechał się przy tym.

Następny zjawił się Bernard, i niemowlak zaczął wędrować z rąk do rąk. Obserwowałam dyskretnie, jak Dawid po raz pierwszy wziął nasze dziecko na ręce, a potem jego mama, która przekazała je dalej swojemu mężowi.

Nic szczególnego nie czułam. Kiedyś cieszyłam się na tę chwilę. Teraz było mi to zupełnie obojętne. Chciałam tylko mieć święty spokój i móc spać.

Rzuciłam ukradkowe spojrzenie na buzię dziecka. Była mniej więcej wielkości mojej pięści. Oczka dzidzius zamknął. Miał śmieszny nos i małe, mocno zaciśnięte usteczka. Sprawiał wrażenie słabiotkiego i delikatnego, zupełnie inaczej go sobie wyobrażałam. Miał blade policzki i mały, spiczasty podbródek.

Czułam się jak w jakimś filmie...

*

Następnego dnia wypisano mnie ze szpitala. Milcząc wstałam z łóżka i zaczęłam się ubierać. Bez słowa przyglądałam się, jak moja mama kładzie dziecko do nosidełka i zakłada maluchowi ciepły sweterek i czapeczkę.

Bez słowa pokonałam szpitalny korytarz. Nieśmiało uśmiechnęłam się, kiedy akuszerka i pielęgniarki życzyły mi dużo szczęścia. Milcząc wsiałam do samochodu, a potem, nadal nie wypowiedziawszy ani słowa, wysiadłam z niego. Podążyłam za mamą przez

rozświetloną słońcem klatkę schodową. Na drzwiach naszego mieszkania zobaczyłam napis „Witamy”, który specjalnie dla mnie powiesiły Annalena i Wiktoria. Bez komentarza weszłam do środka.

- Lilli, przygotowałam sześć butelek - powiedziała mama, po czym ostrożnie wyjęła dziecko z fotelika i usadowiła się z nim na naszej kolorowej sofie. Maluch obudził się i momentalnie wybuchł płaczem.

- Chcesz go potrzymać? - spytała mnie mama. Pokręciłam przecząco głową i czym prędzej czmychnęłam do swojego pokoju. Tam rzuciłam się na łóżko i natychmiast zasnęłam.

*

Obudził mnie dziwny hałas. Zaniepokojona podniosłam głowę. Zlana byłam potem, a T - shirt przylegał mi do ciała. Spojrzałam na przeciwległą ścianę, skąd docierał szmer.

To było dziecko. Leżało w małej, drewnianej kołysce i wydawało ciche dźwięki, coś jak mlaskanie. Szybko zamknęłam oczy i położyłam się.

Nie chciałam mieć z tym nic wspólnego. Dlaczego mama położyła dziecko w moim pokoju? I gdzie właściwie się podziewała? Nasłuchiwałam jakichś odgłosów z zewnątrz, ale panowała cisza. Przecież zawsze, gdy mama była w domu, leciała głośna muzyka. Czy to możliwe, że sobie gdzieś poszła i zostawiła mnie samą? Zupełnie samą z tym dzieckiem? Czułam, że wpadam w panikę. Szybko wstałam i jednym szarpnięciem otworzyłam drzwi. Dziecko wzdrygnęło się i zaczęło płakać. Okazało się, że mama oliwi w dużym pokoju jedną ze swoich nowych drewnianych rzeźb.

- Dawid zaraz przyjdzie - oznajmiła na mój widok. - Dobrze, że wstałaś. Możesz podgrzać butelkę, pokażę ci, jak to się robi. Od razu nauczę cię przygotowywać nowe.

Bez słowa podażyłam za nią do kuchni, ale nie słyszałam, co mówi, tylko patrzyłam gdzieś przed siebie i nie myślałam o niczym, kiedy wyciągała z lodówki butelkę. Zaraz zjawił się Dawid, a tuż po nim - Annalena.

- Jak ma na imię? - spytała przyjaciółka, biorąc ostrożnie malucha na rękę. Spojrzałam na oboje. Dziecko miało burzę czarnych włosów i okrągłe, niebiesciutkie oczy. Tak naprawdę, to dopiero po raz pierwszy dokładnie mu się przyjrzałam.

- Jest taki milutki - dodała Annalena, przesyłając mi uśmiech.

Nic nie odparłam i nie odwzajemniłam uśmiechu.

- No właśnie, Lilli, musicie wybrać dla dziecka jakieś imię - podchwyciła mama, wyciągając do mnie podgrzaną butelkę.

- W przedpokoju leży formularz zgłoszeniowy do urzędu stanu cywilnego. Tam muszą

wydać metrykę. Ale do tego dziecko potrzebuje imienia...

Nie odpowiedziałam, nie wzięłam też od mamy butelki. Usłyszałam, jak westchnęła.

- Chcesz może nakarmić dziecko, Dawid? - zwróciła się do mojego chłopaka. On uniósł ramiona do góry i rzucił mi nerwowe spojrzenie.

- A ty nie chcesz, Lilli? - zapytał cicho. Ze złością pokręciłam głową, a potem przyglądałam się, jak ostrożnie bierze dziecko od Annaleny i butelkę od mojej mamy.

- Lilli, co się dzieje? - spytała z zakłopotaniem przyjaciółka. Zirytowana wstałam i wyszłam do swojego pokoju. Nie chciałam takiego życia. Chciałam, by wszystko było tak, jak wcześniej. Chwyciłam Gandalfa i razem z nim położyłam się do łóżka, wypłakując swój żal w jego miękkie, czarne futerko.

*

Także przez cały następny dzień nie odezwałam się. Mama miała wolne do końca tygodnia, dlatego nocą to ona wstawiała do płaczącego dziecka. Dawid spał u siebie w domu, bo następnego ranka miał pisać ważny test.

- Lilli, odezwij się wreszcie - poprosiła mama, dając dziecku butelkę. Ja karmiłam Gandalfa, który, miauczając, ocierał mi się o nogi.

Jednak nie potrafiłam wydusić z siebie ani słowa. Po śniadaniu mama znów poruszyła temat imienia dla małego. Ponieważ z Dawidem nie byliśmy jeszcze pełnoletni, moja mama była prawną opiekunką dziecka i to ona musiała podpisać formularz zgłoszeniowy do urzędu stanu cywilnego, co już uczyniła. Wskazała mi jednak niecierpliwie niewypełnione jeszcze pole.

- Lilli, mały musi mieć jakieś imię! Co się z tobą dzieje? Przecież tak postanowiłaś! Nie chciałaś ani przerwać ciąży, ani oddać dziecka do adopcji. To dlaczego teraz nie chcesz go nawet dotknąć?

Odrętwiała spojrzałam na nią mimo woli i znów przypomniałam sobie bóle, które odczuwałam przy porodzie. Kiedy w końcu urodziłam to dziecko, stało się ono dla mnie obce. Oczy mnie piekły, głowa bolała, a ja czułam pustkę i bezsilność. Zobojętniała podreptałam do dużego pokoju i włożyłam pierwszą lepszą kasetę wideo do magnetowidu.

„Don Camillo i Peppone”. Bezgłośnie powtarzałam kwestie z dialogu. Nawet wtedy, gdy miałam wielki, ciężki brzuch, nie czułam się tak przygnębiona jak teraz. Walczyłam, by się nie rozplakać, i tylko jednym uchem usłyszałam, jak mama wychodzi z dzieckiem na dwór.

Kiedy wróciła godzinę później, mały miał już imię: Camillo Milewski.

Patrzyłam z niedowierzaniem na wystawioną przez urząd stanu cywilnego metrykę.

Widniało na niej: „Urząd Stanu Cywilnego w Wiesbaden”. Pod spodem numer. A dalej: „Camillo Milewski, płeć męska, urodzony 8 kwietnia 2003 roku w Wiesbaden. Rodzice: Dawid Jellouschek i Lilli Milewski”.

- Dlaczego dałaś mu na imię Camillo? - spytałam ze wściekłością. - Chciałam nazwać go Finn albo Robbie, albo Kevin.

- Nic nie powiedziałaś, Lilli, a on musiał mieć imię. Nazywaj go, jak chcesz.

- Camillo, też coś! - prychnęłam i z impetem wpadłam do swojego pokoju. Głośno zatrzęsłam za sobą drzwi. I natychmiast rozległ się płacz dziecka.

Mnie było to jednak zupełnie obojętne. Zresztą ja też płakałam, nawet bardzo. Rzuciłam się na łóżko i szlochałam do utraty sił.

*

Tamtej nocy Camillo bez przerwy płakał. Leżałam w łóżku całkowicie obudzona, jednak nie otworzyłam oczu, kiedy mama cicho weszła do pokoju i zabrała ze sobą dziecko. Słyszałam, jak krząta się po kuchni, później na krótko zapanował błogi spokój. Widocznie mały dostał swoją butelkę. Jednak cisza nie trwała długo. Znowu rozległ się płacz. Mama weszła do mojego pokoju i pochyliła się nade mną.

- Lilli, chodź, przewiniemy go razem. Jeszcze ani razu tego nie robiłaś...

Wbrew sobie wstałam i stanęłam obok mamy przed komódką do przewijania. Camillo wrzeszczał z całych sił. Miał czerwoną główkę, a piąstkami rozpaczliwie wymachiwał w powietrzu.

- Boli go brzusek - powiedziała mama, głaszcząc po nim dziecko. - Lilli, zobacz, jaki jest twardy. Jako niemowlę też to przechodziłaś. Nazywa się to kolka.

Camillo tak się wydierał, że aż mi dźwięczało w uszach i ledwo słyszałam mamę. Przyglądałam się temu malutkiemu, nagiemu ciałku, delikatnym ramionkom, zaokrąglonym kolankom, jeszcze niezabliźnionemu pępkowi, miniaturowym nóżkom z paluszkami niewiele większymi od ziarenka ryżu. A mimo to posiadały już one miniaturowe paznokietki.

Jakie to niesamowite: Camillo powstał w moim ciele i tam rósł i właściwie jest dlatego, że przespałam się z Dawidem.

Ostrożnie wyciągnęłam rękę i palcem wskazującym dotknęłam jego malutkiej, czerwonej twarzyczki. Camillo natychmiast obrócił się buzią do mnie i próbował ssąć mój palec.

Szybko cofnęłam dłoń.

- Mamo, jestem wykończona - powiedziałam.

- A myślisz, że ja nie jestem? - odparła i popatrzyła na mnie. - Przez trzy noce prawie nie zmrużyłam oka. Przygryzłam wargi.

- Lilli, możesz go trochę potrzymać, aż zaśnie?

- Mam siedzieć z nim całkiem sama? - spytałam przerażona.

- Zaraz na pewno znów zaśnie, jak go trochę pokołyszysz.

- Mamo, proszę... ja... ja nie mogę... jeszcze nie teraz... - wyjąkałam błagalnie.

- No to posiedzimy z nim razem - zdecydowała. Musiałam zostać w dużym pokoju. Usiadłam na kolorowej sofie, a mama wcisnęła mi w ramiona płaczące dziecko.

Wtedy po raz pierwszy trzymałam Camilla. Był malutki i całkiem lekki. Pachniał kremem dla niemowląt i wciąż jeszcze wymachiwał malutkimi piąstkami, które zacisnął tak mocno, że aż skóra na rączkach zrobiła się całkiem blada.

Siedziałam zdrętwiała i wpatrywałam się w niego. Na dworze panowała głęboka noc. Bernard spał w pokoju obok, a Dawid - u siebie w domu.

Długo przypatrywałam się dziecku i próbowałam obudzić w sobie uczucie miłości do niego. Jednak nie potrafiłam. Chociaż kochałam nawet Gandalfa. Ale Camillo był dla mnie zupełnie obcy.

- Mamo, dłużej już nie mogę - wyjęczałam w pewnym momencie, opierając się o nią wyczerpana. - Jestem potwornie zmęczona.

Pozwoliła mi wrócić do łóżka. W drzwiach odwróciłam się jeszcze. Camillo już teraz zdawał się woleć moją mamę ode mnie. Płakał ciszej i ciszej, a główkę oparł, niczym do snu, na jej ramieniu.

Wyglądało to całkiem tak, jakby był jej dzieckiem. Jej i Bernarda. Byłoby wspaniale... Jednak on był moim dzieckiem. Nawet jeśli wciąż wydawało mi się to nieprawdopodobne.

W weekend przyszła mama Dawida, by zająć się małym. Siedzieliśmy z Dawidem obok i przyglądaliśmy się. Mój chłopak przyniósł ze sobą saksofon i przygrywał dziecku. Jednak Camillo zaczął płakać.

Kiedy maluch usnął, poszliśmy we dwójkę do mojego pokoju. Nasze mamy rozsiadły się na sofie i piły wino.

- Jesteś znów taka szczupła, Lilli - szepnął Dawid, obejmując mnie w tali. - Wyglądasz jak kiedyś.

Potem pocałował mnie i spróbował otworzyć mi usta językiem.

- Przestań - powiedziałam szybko i odwróciłam się.

- Coś nie tak? - spytał.

Wzruszyłam ramionami. Nagle zdałam sobie z czegoś sprawę.

- Odkąd jest Camillo, ani razu u mnie nie nocowałeś - stwierdziłam zamyślona.

- Jeśli chcesz, zostanę dzisiaj - odparł od razu. Ujął moją twarz w dłonie, a ja pozwoliłam mu się wreszcie pocałować. Jednak nie sprawiło mi to większej przyjemności. Nie potrafiłam jeszcze oderwać się od tego wszystkiego. Najchętniej zostawiłabym swoje ciało tylko dla siebie.

Ta noc nie różniła się od wcześniejszych. Tuż po północy Camillo zaczął płakać.

- Cholera, co za hałas - powiedział zaspany Dawid, po czym wstał z łóżka. Mama odgrzała butelkę i wcisnęła mi ją do ręki. Dawid położył Camilla na komódce i zmienił mu pampersa. Wyglądało na to, że poszło mu nieźle. Potem położyliśmy się we trójkę, razem z dzieckiem, do łóżka. Mój chłopak trzymał butelkę, z której pił mały.

Rozmawialiśmy cicho o rzeczach bez znaczenia. Całkiem miło spędziliśmy te pół godziny. Niestety, później Camillo dostał kolki i zaczął płakać ze zdwojoną siłą. Tylko że tym razem moja mama nie zajrzała. Już przy kolacji zapowiedziała, iż zamierza przespać całą noc, a my mamy się zająć swoim dzieckiem.

- Hej, ty zwariowany maluchu - powiedział mój chłopak, podnosząc wysoko Camilla. Ale mały nie przestawał płakać. I tak przez całą noc. Prześcigaliśmy się w pomysłach, jak by go uciszyć. Jednak na dziecku nic nie robiło wrażenia. Rozbolała mnie głowa i czułam się wykończona. Dawid też był zmęczony. Zataczał z Camillem kółka po pokoju.

W którymś momencie zasnęłam. Kiedy się obudziłam, świtało już. Dawid leżał obok mnie, a Camillo na jego brzuchu spał mocno. Zresztą, mój chłopak też spał jak zabity.

Uśmiechał się we śnie w ten swój specyficzny sposób, jakby wszystko było w najlepszym porządku. Przeniosłam wzrok na dziecko. Miałam nadzieję, że kiedyś będzie się tak samo uśmiechało jak Dawid. Na krótką chwilę świat wydał mi się OK.

Minęły dwa tygodnie. Była teraz połowa maja.

Dawid, ja i Annalena siedzieliśmy milcząc przy stole w naszej kuchni. Przez okno docierały do nas promienie słoneczne.

Camillo nadal był płaczliwym dzieckiem. Czasami potrafił marudzić cały dzień. Nie przestawał też budzić nas po nocach.

Przedpołudniami zostawałam z nim zupełnie sama. Dawid chodził do szkoły, mama pracowała w szpitalu, a Bernard był w swojej galerii.

W pokoju włączałam wieżę, a w kuchni radio. No i otwierałam okno. Hałas wokół mnie sprawiał, że wydawało mi się, iż nie jestem tak całkiem sama. Mimo to czułam się samotna. Czasami odnosiłam wrażenie, że ściany mieszkania coraz bardziej mnie osaczają. Niekiedy nie byłam w stanie nawet ubrać się do południa. Musiałam nakarmić Camilla, przewinąć go, uspokoić, wygotować jego butelki, wyprać śpioszki i posprzątać mieszkanie. A cały czas towarzyszył mi donośny płacz małego. Z tego powodu kilka razy zabrałam go nawet do pediatry - stwierdził tylko, że dziecku nic nie dolega. Ma jedynie problemy z trawieniem i z zaaklimatyzowaniem się. Jakże banalnie to brzmiało: „problemy z trawieniem i z zaaklimatyzowaniem się”. Dla mnie oznaczały piekło i sprawiały, że niekiedy nie cierpiałam Camilla.

Któregoś przedpołudnia nie wytrzymałam i wysłałam Annalenie SMS: „Proszę, przyjdź!” Nic więcej, tylko tyle. Przyszła i objęła mnie ramieniem. Potem wyciągnęła z kołuski wyjącego Camilla i usiadła z nim na balkonie, na słońcu.

Dlaczego ja nie wpadłam na ten pomysł? Na balkonie leżała niebieska buteleczka do puszczania baniek mydlanych, którą w zeszłym tygodniu zapomniał stąd zabrać najmłodszy brat Dawida. Annalena odkręciła ją i wypuściła w powietrze serię baniek. Maluch przestał płakać i jak urzeczony wpatrywał się w migocące cudeńka. Zrobiło się przyjemnie cicho. Prawie wstrzymywałam oddech, by nie zakłócić tej ciszy.

- Camillo - odezwała się w końcu przyjaciółka. - Życie jest takie piękne. A będzie jeszcze piękniejsze, jeśli przestaniesz płakać!

Spojrzał na Annalenę, jakby rozumiał jej każde słowo. Na jego twarzyczce nagle odmalował się błogi spokój.

- Musisz być choć trochę dobry dla swojej mamy, Don Camillo, słyszysz? - kontynuowała, głaszcząc dziecko po policzkach. Natychmiast zadrgały usteczka małego i

zaczął ssać palec Annaleny. Przyjaciółka nie cofnęła ręki, tylko pozwoliła mu ssać, aż zasnął.

Siedziałyśmy razem i puszczałyśmy na przemian bańki mydlane w wiosenne niebo. Nie zamieniłyśmy ze sobą ani słowa, jednak było to najprzyjemniejsze popołudnie od dłuższego czasu.

*

„Może powinnam była jednak usunąć ciężę albo oddać dziecko do adopcji?” Chociaż surowo zabroniłam sobie rozmyślać o tym, ta myśl ciągle się pojawiała. Ot tak po prostu, ponieważ byłam nieustannie bardzo zmęczona. Pocieszałam się że może będzie mi lżej, kiedy po wakacjach wrócę do szkoły Camillo będzie wtedy spędzał przedpołudnia w żłobku.

W naszej kuchni od tygodnia wisiał plan zajęć, informujący, kto kiedy odpowiadał za opiekę nad dzieckiem. Od poniedziałku do piątku w rubrykach wszystkich przedpołudni widniało, niestety, moje imię. Ale już popołudnia i noce były różnie rozplanowane. W poniedziałek w nocy dzieckiem miał się opiekować Dawid. We wtorkową noc - ja. W środę do Camilla wstawiała moja mama, a w czwartek - Bernard. W piątek mały spał u mamy Dawida. W sobotę i niedzielę opieką nad dzieckiem dzieliłam się z Dawidem. Czasami nocowała u mnie Annalena i wtedy ona wstawiała w nocy do Camilla, by dać mu butelkę. Od dwóch tygodni znów chodziłam w poniedziałkowe popołudnia na lekcje gry na wiolonczeli. W tym czasie dziecko było z Bernardem w jego galerii. W środowe popołudnia Annalena często zabierała Camilla do swojej prababci. W piątek po południu opiekę nad małym przejmował Dawid.

Jednak już drugiego piątku plan wziął w łeb. Najpierw odmówiła „nocki” mama mojego chłopaka, bo miała migrenę, a po południu zadzwonił Dawid.

- Lilli, sorry, ale nie dam rady dzisiaj przyjść - rzucił pospiesznie. Dzwonił z komórki i wyjaśnił mi, że jest teraz ze swoim nauczycielem gry na perkusji na ważnym przesłuchaniu.

- To wypadło tak nieoczekiwanie, Lilli - dodał.

- Dawid, ale ja jestem ugotowana! - powiedziałam, czując, że zaczynam panikować. - Camillo nie spał prawie całą noc, nie zmrużyłam oka...

- Sorry, Lilli - przerwał mi. - Ale to naprawdę bardzo ważne. Wpadnę do ciebie po wszystkim...

Sekundę później połączenie zostało przerwane, a ja zrozpaczona wpatrywałam się w słuchawkę w mojej ręce. Z dużego pokoju dochodził mnie płacz Camilla. Szybko przygotowałam mu butelkę, a potem jeszcze zaparzyłam herbatkę, przewinęłam go, wyjęłam naczynia ze zmywarki, następnie znów ją napełniłam, a przy tym wszystkim starałam się nie

zwracać uwagi na płacz dziecka.

*

Kolana drżały pode mną. W którymś momencie wykończona opadłam na łóżko, wtuliłam się w moją poduszkę w kształcie serca i zasnęłam. Nagle obudził mnie hałas o podwójnej sile. Camillo, jak zwykle, wydierał się wniebogłosy, a ktoś dobijał się do naszego mieszkania. Zerwałam się na równe nogi, pokonałam pospiesznie odległość do drzwi i otworzyłam je. Ujrzałam Annalenę. Za nią stała nasza sąsiadka, która gapiła się na mnie wzrokiem pełnym oburzenia.

- Toż to wstyd! - krzyknęła. Tak głośno, że aż cała się skuliłam. Czułam, że jestem jeszcze bardzo zaspana. - Dziecko płacze już od wielu godzin i, proszę, nikogo to nie interesuje - kontynuowała sąsiadka tym samym tonem. Widać, że od pierwszej chwili mnie nie tolerowała. - To naprawdę trzeba by zgłosić do urzędu do spraw młodzieży...

- No, niech się już pani uspokoi - powiedziała ze złością Annalena, wchodząc do mieszkania i zamykając za sobą drzwi.

- Lilli, co się dzieje? Dlaczego nie odbierasz telefonu? I dlaczego każesz mi czekać całą wieczność pod drzwiami? Dzwoniłam i dzwoniłam...

- Nic nie słyszałam - odparłam. Zabrzmiało to żałośnie. - Byłam tak bardzo zmęczona.

- A co się dzieje z Camillem? - spytała przyjaciółka, przechodząc do dużego pokoju. Maluch leżał w swoim łóżeczku i miał zaczerwienione policzki. Jego płacz brzmiał inaczej niż zwykle.

- Lilli, on jest cały rozpalony! - krzyknęła przerażona Annalena i wzięła go na ręce.

Miała rację, dziecko dostało wysokiej gorączki. Podczas gdy ja usiłowałam wlać mu do buzi trochę herbaty, przyjaciółka dzwoniła do naszego pediatry.

- Mamy zabrać Camilla do szpitala - wyjaśniła chwilę później i zamówiła taksówkę. Przytaknęłam i ubrałam synka. Ręce mi się trzęsły, a Camillo nie przestawał płakać. Jakby z daleka usłyszałam tylko, że Annalena dzwoni do mojej mamy, która wraz z Bernardem wybrała się na jakiś jarmark.

- Przyjadą jak tylko mogą najszybciej - poinformowała mnie.

I dokładnie w tej chwili stało się: Camillo, który ciągle, bezustannie płakał, nagle zamilkł. Potem przewrócił oczkami, a ja poczułam, że jego ciało całkiem zeszytniało.

Usłyszałam czyjś przeraźliwy krzyk. Po chwili dotarło do mnie, że to ja krzyczę.

- Lilli, Lilli, Lilli, przestań! - dochodził do mnie z oddali głos Annaleny. Umilkłam.

- Myślę, że on nie żyje... - szepnęłam głosem, który zdawał się należeć do zupełnie

obcej osoby. Patrzyłam na moje dziecko, które nagle zrobiło się blade. Blade i nie poruszało się.

- Nie. Sądzę, że ma febrę... - odparła cicho przyjaciółka. - Moja siostrzyczka też coś takiego raz przechodziła, kiedy była jeszcze mała...

W tej chwili usłyszałyśmy klakson taksówki. Przycisnęłam do siebie mocno Camilla i poczułam, że jego ciało znów robi się wiotkie. Zaczął płakać, tym razem jednak całkiem cichutko.

Wtedy zrozumiałam, że mimo wszystko kocham go. Zrozpaczona niosłam moje dziecko przez oświetloną słońcem klatkę schodową.

„A jeśli jest tak bardzo chory, że umrze?”

*

Na szczęście Camillo nie umarł. Miał ostre zapalenie ucha środkowego i gorączkę ponad 40 stopni Celsjusza.

- Stąd biorą się konwulsje - wyjaśniła pielęgniarka, uśmiechając się do nas. - To wasz braciszek? A gdzie są jego rodzice? Będę potrzebować zaświadczenia o ubezpieczeniu...

- On jest... moim synem - powiedziałam szybko i wyprostowałam plecy, które znów mnie bolały, jak to się często ostatnio zdarzało.

„On jest moim synem”. Po raz pierwszy wypowiedziałam te słowa.

- Och! - wyrwało się siostrze. Więcej nic nie mówiła. Potem przyszła moja mama, a ja odetchnęłam z ulgą.

- Zostawię go tutaj na kilka dni na obserwację, Lilli - wyjaśniła mi później.

Lekarz dyżurny zapewnił mnie, że zupełnie wystarczy, jeśli przyjdę do szpitala nazajutrz rano.

- To przecież jeszcze maleństwo - powiedział, uśmiechając się do Camilla. - Jest pełne ufności wobec każdego. Nic mu się nie stanie, jeśli pobędzie trochę bez mamy.

- I na pewno nie umrze? - dopytywałam się.

- Na pewno - zapewnił mnie lekarz. - Ale pani wygląda na porządnie zmęczoną. Trochę odpoczynku dobrze by pani zrobiło...

Zwrócił się do mnie per pani! Po raz pierwszy ktoś powiedział do mnie „pani”. Annalena mrugnęła porozumiewawczo, po czym pożegnałyśmy się z Camillem i pojechałyśmy do domu.

*

Przyjaciółka została u mnie na noc.

- Teraz jest prawie tak jak kiedyś, prawda? - zauważyła, gdy razem leżałyśmy w moim łóżku.

Jednak ja miałam inne odczucia. Myślni byłam cały czas przy synku i - mimo że wcześniej wydawało mi się to niemożliwe - teraz mi go naprawdę brakowało.

- Dawid nie ma pojęcia, że Camillo jest w szpitalu - zaniepokoiłam się. - Miał zaraz po przesłuchaniu wpaść do nas.

- Po przesłuchaniu? - powtórzyła ze zdziwieniem Annalena.

- Tak - przytaknęłam.

- Widziałam go dzisiaj po południu z tą Miriam w Café Rozmaitości - oznajmiła.

- Nie, to niemożliwe.

- Ale naprawdę - upierała się.

- Przecież dzwonił do mnie... - zaprotestowałam.

- To znaczy, że skła... - zaczęła przyjaciółka.

- Nie, to do niego niepodobne - przerwałam jej pospiesznie. Więcej nic nie powiedziałam. I mimo że byłam wykończona dzisiejszymi przeżyciami, długo nie mogłam zasnąć. Leżałam odrętwiała i rozmyślałam o Dawidzie i Miriam.

Bałam się. Annalena leżała obok, pogrążona w głębokim śnie, a ja zazdrościłam jej beztroskiego życia.

*

Dawid nie odezwał się także następnego ranka. Dopiero po południu niespodziewanie spotkaliśmy się. Na jego piegowatą twarz padało słońce, podkreślając zieleń jego oczu. Jak przystojnie wyglądał!

- W szpitalu? - wykrztusił przerażony. Staliśmy przed moim blokiem. Dawid właśnie szedł ze szkoły, a ja wracałam od Camilla.

Przytaknęłam ruchem głowy.

- Co się stało?

Przypatrywałam mu się bez słowa, myśląc o tych czterech razach, kiedy spaliśmy ze sobą, i o Camillu, który w efekcie naszej miłości przyszedł na świat i którego od wczoraj wreszcie kochałam.

- No powiedz w końcu - popędzał Dawid.

Jakiż on wysoki. O głowę wyższy ode mnie. Kiedy widziało się go z daleka, można było pomyśleć, że jest już całkiem dorosły, z bliska jednak wyraźnie wyglądał na swoje dopiero siedemnaście lat.

- Hej, Lilli, co jest grane?
- Gdzie wczoraj byłeś? - spytałam.
- Przecież mówiłem, że miałem przesłuchanie - odparł.
- Razem z... Miriam?

Mój głos zabrzmiał tak skrzekliwie jak głos mojej mamy, gdy była zdenerwowana. Dawid spojrział na mnie jakoś tak dziwnie.

- Nie, nie z Miriam - powiedział po chwili. Jego głos też wydał mi się dziwny.
- A więc nie byłeś wczoraj z Miriam? - drążyłam.
- Nie, nie byłem. Mierzyliśmy się wzrokiem.
- Może kłamiesz - zasugerowałam w końcu.
- Nie kłamię, do cholery.

Owiał nas ciepły wiatr, a ja poczułam w oczach coś wilgotnego i szybko zamrugałam. „Tylko nie becz, do diabła!”, pomyślałam.

- Powiesz mi wreszcie, co jest z Camillem? - spytał Dawid.
- A jeśli ktoś powiedział, że widział cię z Miriam w Café Rozmaitości?
- W takim razie to nieprawda - odparł, patrząc mi hardo w oczy.

Kłamał? A może Annalena się pomyliła?

Wydawało się nieprawdopodobne, by Dawid potrafił tak kłamać. Jednak Annalena powiedziała, że na sto procent widziała go z Miriam. Myśli wirowały mi jak szalone. Odwróciłam się i uciekłam.

- Cholera, Lilli, powiedz mi w końcu, co się stało! - zawołał za mną Dawid. Ale ja nawet się nie odwróciłam.

*

Do wieczora łąziłam po mieście. Było ciepło i słonecznie, słyszałam ćwierkające ptaki, widziałam bawiące się dzieci i młodzież jeżdżącą w parku na łyżworolkach. Wszędzie otoczona byłam ludźmi i chwilami czułam się z tym dobrze, a chwilami - źle. Myślałam o Dawidzie, który być może mnie okłamał, o Camillu, który tego ranka uśmiechnął się i miał znów normalną temperaturę. Przypomniałam sobie tę chwilę, kiedy całowałam się z Dawidem w strugach deszczu, a potem kochałam się z nim, i jak nam było wspaniale. Zastanawiałam się, dlaczego teraz w ogóle nie miałam ochoty z nim spać. Myślałam też o mojej ciąży, którą miałam już za sobą.

Nagle znalazłam się w naszej starej dzielnicy, uśmiechnęłam się na widok budynku, w którym mieszkałam, i wolnym krokiem ruszyłam w stronę mojej dawnej podstawówki.

I tam spotkałam przypadkiem Fabia. Chodziliśmy razem do jednej klasy, a nawet siedzieliśmy obok siebie przez cztery lata. Później jednak jego rodzice przenieśli się do Frankfurtu i Fabio zniknął z mojego życia.

Nie widzieliśmy się ponad cztery lata, mimo to od razu się poznaliśmy.

- Lilli! - uśmiechnął się do mnie szeroko. Barwę głosu miał o wiele głębszą niż kiedyś. Był też wyższy od Dawida.

- Cześć - powiedziałam.

- Kopę lat! Przytaknęłam.

- Dalej mieszkasz w tym samym bloku? Zaprzeczyłam ruchem głowy.

Potem pojechaliśmy do miasta i zajrzeliśmy do „Luigiego”.

- No i co porabiasz? - spytał z zaciekawieniem Fabio, gdy już złożyliśmy zamówienie.

Pomyślałam o Camillu, który leżał teraz w szpitalnym łóżeczku i przy którym powinnam teraz być.

- Nic szczególnego - odparłam szybko.

Jedliśmy dużą pizzę z karczochami i cebulą. Przez cały wieczór nie wspomniałam Fabiowi ani jednym słowem o moim dziecku.

- Znów tu mieszkam - opowiadał między jednym kęsem a drugim. - Moi rodzice rozwiedli się...

- Och - westchnęłam, ale on uśmiechnął się do mnie, a ja odwzajemniłam uśmiech.

W domu, oczywiście, czekała mnie awantura.

- Cholera jasna, gdzie się podziewałaś przez cały dzień?! - spytała ostrym tonem mama. Stała przy zlewozmywaku i myła pędzle. Cała kuchnia pachniała farbami i terpentyną.

Od kiedy pojawił się Camillo, miała o wiele mniej czasu na swoje projekty. Dzisiaj widać wykorzystywała sposobność, że mały był w szpitalu. Na ścianie, obok okna, wisiało wielkie, świeżo namalowane płótno. I po raz pierwszy od wielu tygodni leciała znów głośna muzyka, jakieś stare nagranie Rolling Stones'ów.

- Byłam na mieście - odparłam, siadając przy stole.

- Dlaczego nie zadzwoniłaś? Martwiłam się.

- Nie musisz się ciągle martwić - powiedziałam poirytowana. Mierzyłyśmy się wzrokiem.

- Lilli, wraz z pojawieniem się dziecka obarczyłaś się odpowiedzialnością i teraz musisz temu sprostać. Nie możesz więc, jakby nigdy nic, zniknąć na cały dzień.

Nie odpowiedziałam. Pomyślałam jedynie o Fabiu. Umówiliśmy się następnego dnia na spotkanie.

- Dawid był w szpitalu dzisiaj po południu - poinformowała mnie mama. - Miał jednak mało czasu. Rozmawiałam z lekarzem dyżurnym. Powiedział, że Camillo może jutro wrócić do domu.

„Już jutro...”

Przytaknęłam powoli. Już jutro, a przecież na jutro umówiłam się z Fabiem.

W środku nocy zadzwoniła moja komórka. Zaspana wyskoczyłam z łóżka i pospiesznie wydobyłam ją z plecaka. Dzwonił Fabio.

- Przepraszam, że cię obudziłem - usłyszałam jego czarujący głęboki głos. - Ale nie mogę zasnąć, bo cały czas myślę o tobie.

Szybko wróciłam do łóżka i weszłam pod kołdrę. Natrafiłam przy tym na mały, twarty przedmiot. To był jeden ze smoczków Camilla. Wzięłam go do ręki i przyglądałam mu się.

- Nie mogę się już doczekać jutra, kiedy znów się zobaczymy - mówił właśnie Fabio. - Masz czas zaraz po szkole?

Szkoła... Co będzie, jeśli on się dowie, że na razie w ogóle nie chodzę do szkoły? Serce zaczęło mi walić jak młotem. A co to będzie, kiedy dowie się, że mam dziecko?

Gadaliśmy jeszcze chwilę o tym i o owym. Fabio chciał po mnie przyjść pod szkołę. Udało mi się jednak wyperswadować mu ten zamiar. Umówiliśmy się w końcu o trzeciej w parku, w lodziarni.

*

Następnego dnia pojechałam z mamą Dawida odebrać ze szpitala Camilla.

Moja mama była w pracy, Bernard na wernisażu w Amsterdamie, a Dawid, oczywiście, w szkole.

- Widzisz, malutki człowieczku - powiedziała pielęgniarka, gdy przyszedłam. Po czym dała mi na ręce Camilla. - Jest twoja mama. Teraz już nie musisz płakać.

Uśmiechnęła się do mnie, maluch też. Potem wcisnęła swoją małą zapłakaną twarzyczkę w moje ramiona i od razu zasnął - Jak ślicznie pachniał. W czasie całej drogi wahałam jego malutkie ciało, a jego miękkie, ciemne włosy łaskotały mnie po nosie. Nagle przypomniałam sobie dzień, w którym odwoziłam go do szpitala. Jak to dobrze, że mu się nic nie stało.

- Trzymajcie się - rzuciła pod moim domem na pożegnanie mama Dawida.

- Musisz już iść? - nie kryłam przerażenia. Przytaknęła.

- Tak. Czeka mnie, niestety, mnóstwo pracy - wytłumaczyła, zerkając na zegarek. Chwilę później zostałam sama.

- Co za pech - mruknęłam niepokieszona. - Cholerny pech...

*

Udało mi się przetrwać do południa. Camillo spał prawie cały czas. Sprzątnęłam w kuchni, wyparzyłam butelki i smoczki, przygotowałam mleko, po czym gdy mały obudził się, nakarmiłam go, przewinęłam, dałam mu lekarstwo i wyniosłam do śmietnika kosz z brudnymi pampersami.

O wpół do drugiej wróciła z pracy mama. Szybko wstawiłam obiad z poprzedniego dnia do mikrofalówki.

Mama była w dobrym nastroju.

- Czy obejrzałaś już mój nowy obraz? - spytała, stawiając talerz na stole.

- Możesz dzisiaj po południu zająć się Camillem? - zamiast odpowiedzi zadałam jej pytanie.

- Niestety, mam ważne spotkanie, Lilli - odparła. - Idę obejrzyć atelier mojej przyjaciółki, które w przyszłości może wykorzystam.

Podniosłam głowę.

- Chcesz pracować gdzie indziej? - zapytałam ze strachem.

- Tylko od czasu do czasu - powiedziała szybko. - Lilli, potrzebuję mojej muzyki, kiedy pracuję, a jak długo Camillo będzie spał w ciągu dnia...

Uśmiechnęła się do mnie, ale mnie nie było wcale do śmiechu. Zegar wybił wpół do trzeciej. Za pół godziny miałam się spotkać w parku z Fabiem. Kilka minut później mama wyszła.

Tuż przed trzecią ja też opuściłam mieszkanie. Przedtem zrozpaczona próbowałam zadzwonić się do Annaleny, Wiktorii, Dawida i jego rodziców. Nadaremnie. Nikt nie odbierał telefonu.

- Cholera - mruknęłam pod nosem i zerknęłam czujnie do dużego pokoju, gdzie w swoim łóżeczku leżał Camillo i mocno spał.

„Właściwie, co się stanie, jeśli na chwilę zostanie sam? Pewnie i tak się nie obudzi. A jeśli nawet, to na pewno będę już z powrotem w domu...”

*

Parę minut po trzeciej weszłam do lodziarni. Fabio już tam był i skinął na mnie. Spędziliśmy razem dwie godziny. Jedliśmy lody, przechadzaliśmy się wokół stawu i puszczaliśmy kaczki, siedzieliśmy pod rozłożystą lipą, leżeliśmy na trawie. Fabio opowiadał mi, jak było we Frankfurcie, a ja mówiłam mu o swoich zdjęciach, które zrobiłam zeszłego roku. Potem patrzyliśmy sobie w oczy i założyliśmy się, kto dłużej wytrzyma bez mrugania. Jeszcze później ścigaliśmy się po pagórkowatej łące, aż w końcu znów usiedliśmy pod lipą, a Fabio szepnął mi na ucho coś po włosku, z czego nic nie rozumiałam. On jednak uparcie nie chciał tego przetłumaczyć. Za to ucałował wszystkie moje opuszki palców, a potem pocałowaliśmy się w usta. Ten pocałunek trwał jednak bardzo krótko.

- We Frankfurcie miałem dziewczynę - wyznał później. - Jednak po mojej przeprowadzce zerwaliśmy ze sobą.

Spojrzeliliśmy na siebie. Oczy Fabia były jasnyniebieskie, choć był Włochem. Ale jego włosy były całkiem ciemne.

- A ty miałaś chłopaka? - spytał.

Pomyślałam o Dawidzie i Camillu i poczułam się okropnie. Mimo to pokręciłam przecząco głową.

- Naprawdę? - zdziwił się.

Znów zaprzeczyłam. Potem się pocałowaliśmy. Później jednak chciałam wracać do domu.

- Tak wcześnie? - spytał z rozczarowaniem w głosie. Przytaknęłam i szybko wstałam.
- Mogę cię odprowadzić? - zaproponował Fabio i też się podniósł.
- Nie, nie możesz - odparłam prędko i pobiegłam. Do domu, do Camilla.

*

W domu czekała mama. Siedziała po prostu przy kuchennym stole i patrzyła na mnie bez słowa. Gandalf zajął miejsce obok niej i też wpatrywał się we mnie. A Camillo leżał w swoim foteliku i ssał smoczek.

- Cześć... - powiedziałam ostrożnie i zamknęłam za sobą drzwi od mieszkania.

Mama nadal przyglądała mi się milcząco.

- Czy... czy coś się stało? - spytałam cicho. Zauważyłam, że marszczy czoło. Gandalf, który pewnie wyczuł w powietrzu napiętą atmosferę, przebiegł koło mnie i czmychnął gdzieś w głąb mieszkania.

- Gdzie byłaś?

- Byłam... Wyszłam tylko na chwilę - powiedziałam szybko. - Tylko na... kilka minut.

Podeszłam do Camilla i uklękłam przy nim. Spojrzał na mnie i nagle jego twarzyczkę rozświetlił szeroki uśmiech, tak że wypadł mu z buzi mały, jasnoniebieski smoczek. Machnął uradowany malutkimi rączkami. Serce zaczęło mi bić mocniej, kiedy to ujrzałam. Wzięłam synka na ręce.

- Lilli, wróciłam tu tuż po trzeciej, bo zapomniałam komórki, i ciebie już nie było... A teraz jest po piątej!

Przytuliłam dziecko mocno do siebie.

- Zostawiłaś więc Camilla samego na dwie godziny.

Nie odpowiedziałam, ale te słowa zawisły ciężko w powietrzu.

- Lilli... - zaczęła znów.

- Przecież nic się nie stało - mruknęłam.

- Ale mogło się stać.

Camillo wiercił się na moim ramieniu i nagle wydał mi się taki ciężki.

- A więc gdzie byłaś, Lilli?

- Musiałam wyjść.

- Mogłaś przecież zabrać ze sobą Camilla. Wózek stoi na korytarzu.

- Musiałam... musiałam być sama.

- Lilli, masz teraz dziecko. Nie możesz tak po prostu powiedzieć: „Muszę być sama”.

Głos mamy nagle tak zabrzmiał, że nie miałam wątpliwości, kto tutaj rządzi.

- O Boże, przecież nic się nie stało. Dlaczego robisz o taj tyle szumu?

- Bo dziecka nie można ot tak zostawiać samego, Lilli!

- Dobrze, to się więcej nie powtórzy...

Wiedziałam, że to ona miała rację, nie ja. Mimo to czułam złość. Camillo znów zacząć kwękać, z powrotem więc wsadziłam go do fotelika.

- Zawsze tak robisz - zauważyła od razu mama, która dokładnie wiedziała, że ma nade mną przewagę. - Odstawiasz Camilla, jeśli staje się ciężarem. Ale tak nie można, Lilli!

Poczułam, że zaczynam wewnątrz cała kipieć.

- A coś takiego, co zrobiłaś dzisiaj po południu, nie może się już więcej powtórzyć - kontynuowała mama, mierząc mnie surowym wzrokiem.

- Tak, tak - mruknęłam, próbując bezskutecznie przywołać to miłe uczucie, które towarzyszyło mi, gdy spacerowałam z Fabiem po parku.

- Lilli, obiecaj mi - powiedziała.

I obiecałam. Potem skryłam się w swoim pokoju. Kiedy zadzwoniła komórka, rzuciłam okiem na mały niebieski ekranik: Dawid. Ze złością odłożyłam telefon. Dlaczego Dawid tylko dzwonił, dlaczego nie przychodził do mnie, jeśli coś ode mnie chciał? I dlaczego właściwie musiałam siedzieć uwięziona w domu i opiekować się Camillem, kiedy on ciągle gdzieś latał.

*

- Zakochałaś się w nim, Lilli? Annalena przyglądała mi się badawczo.

- Nie wiem - mruknęłam zamyślona.

- I nie powiedziałaś mu nic o Camillu? - Nie.

- Dlaczego? - spytała przyjaciółka, biorąc dziecko na rękę.

- Bo gdybym mu powiedziała, to na pewno przestałby się mną interesować - odparłam.

- A co z Dawidem? Kochasz go jeszcze? Camillo wiercił się na jej ramieniu.

- Tego też nie wiem - szepnęłam. Powiedziałam jakiś czas temu Annaleni, że Dawid zaprzeczył, jakoby był w kawiarni razem z Miriam.

- Ale on tam był - upierała się wtedy.

Nie omieszkałam znów powiedzieć o tym Dawidowi.

- Nie byłem tam. To jakaś bzdura - skwitował ponownie. Spotkałam się z nim poprzedniego dnia. Zaraz po naszej rozmowie pojechał do swojego domu.

- W takim razie idę - powiedział, patrząc na mnie z dystansem.
- OK - odparłam. Camillo siedział w swoim foteliku i wymachiwał rączkami.
- Cześć, mały! - pożegnał się z dzieckiem. Potem wyszedł.

Od tamtej pory czułam niepewność. Czy wszystko między mną a Dawidem było już skończone? Jeśli tak, to co dalej?

- Chodź, wyjdźmy trochę na zewnątrz - zaproponowałam Annaleni. - Potrzebuję świeżego powietrza.

Mama, która pracowała w dużym pokoju, zmusiła mnie, bym zabrała też Camilla. Jak tylko mogłam najszybciej, nałożyłam mu ubranko i wełnianą czapkę, i wyszliśmy. Annalena wyciągnęła na dwór wózek, a ja włożyłam do niego dziecko.

I dokładnie w tym momencie wyrósł przed nami Fabio.

- Braciszek czy siostrzyczka? - to było pierwsze, co powiedział.

Patrzyłam na niego zmieszana.

- Co ty tutaj robisz? - spytałam w końcu z biciem serca.

- Chciałem właśnie wpaść do ciebie - wyjaśnił. - Pomyślałem sobie, że może przetłumaczę ci to, co ostatnio powiedziałem po włosku...

Spróbowałam się uśmiechnąć. Popchnęłam wózek przed siebie.

Fabio zaciekawiony pochylił się nad nim i spojrzał do środka.

- Ależ maleństwo! - zauważył, uśmiechając się. - Nic mi nie mówiłaś, że twoja mama urodziła dziecko. A więc braciszek czy siostrzyczka?

- Brat... - odparłam, nie patrząc na Annalenię. - Ma na imię Camillo, bo moja mama uwielbia filmy o Don Camillu i Peppone...

I tak się potoczyło. Fabio, Annalena i ja spacerowaliśmy po parku, potem usiedliśmy w małej lodziarni, a ja nie odważyłam się wyznać prawdy.

*

Było lato i wszyscy odczuwali zmęczenie. Dawid i ja raz byliśmy razem w kinie, dwa razy na basenie, a raz poszłam z nim na przesłuchanie - grał na saksofonie. Miriam też tam była i skinęła mi z daleka ręką. Nie odwzajemniłam jej gestu.

Czasami całowałam się z Dawidem, niekiedy nocował u mnie, leżeliśmy wtedy obok siebie w moim łóżku i rozmawialiśmy. Od narodzin Camilla brałam pigułkę antykoncepcyjną, ale właściwie nie potrzebowałam jej, bo ani razu nie przespałam się z moim chłopakiem.

- Dlaczego nie chcesz? - pytał mnie czasami, ale ja sama nie znałam odpowiedzi. Po prostu nie odczuwałam takiej potrzeby, byłam też zbyt zmęczona, no i sprawa z Miriam nie

dawała mi spokoju.

Poza tym był jeszcze Fabio, z którym się od czasu do czasu potajemnie spotykałam. Tylko Annalena o tym wiedziała. Kilka razy się pocałowaliśmy: w jego pokoju, na osiedlu, na którym kiedyś mieszkałam.

„Podobają mi się twoje oczy. Podobają mi się twoje długie włosy. Podobają mi się twoje wąskie palce. Lubię zapach twojej skóry. Lubię sposób, w jaki się śmiejesz. Cieszę się, że znów się spotkaliśmy”. Wszystko to powiedział mi Fabio - najpierw po włosku, potem to przetłumaczył. Kiedy po raz pierwszy włożył mi rękę pod bluzkę, wstrzymałam oddech. Czy poczuje, że był tutaj Camillo?

- Masz piękną, delikatną skórę - powiedział tylko i uśmiechnął się do mnie z tak bliska. Miał tyle lat co ja, i to też mi się podobało.



Potem nadszedł najstraszniejszy dzień mojego życia. Już noc była niefortunna. Pokłóciłam się z Dawidem, który nocował u mnie.

Wszystko zaczęło się bardzo niewinnie. Mama przyniosła zdjęcie, które zrobiła mnie, Dawidowi i Camillovi w ubiegłym tygodniu. Mój chłopak przypiął je pinezką do korkowej tablicy, tuż pod fotografią „Dawid i Lilli”.

„Dawid, Lilli i Camillo”.

- Właściwie dlaczego przestałaś robić zdjęcia? - spytał nagle, patrząc na mnie ze zmarszczonym czołem.

- Nie mam ochoty - mruknęłam zmęczona.

- Czasami wydaje mi się, że na nic nie masz ochoty. Smutna i podenerwowana zatrzymałam na tym naszym rodzinnym portrecie wzrok na dłużej. Smutna, podenerwowana i zmęczona. Camillo nadal źle sypiał w nocy, ja więc siłą rzeczy też wciąż czułam się znużona.

- Lilli, bardzo się zmieniłaś - powiedział Dawid, przyglądając mi się w zamyśleniu.

- Może tak zająłbyś się Camillem raz przez cały dzień! - parsknęłam, doprowadzona nagle do wściekłości. - Ale nie, ty tylko wpadasz do nas, akurat kiedy masz czas i ochotę!

Jak oparzona zerwałam się z miejsca i stanęłam pośrodku pokoju. Dawid siedział po turecku na dywanie i patrzył na mnie z dołu.

- Ty i twoi rodzice, nawet Annalena, wy wszyscy możecie przyjść i pójść sobie, kiedy tylko chcecie! Tylko ja, tylko ja muszę tu być cały czas!

Głos zaczął mi skrzeczeć, usłyszałam dobiegający z dużego pokoju płacz Camilla.

- No i proszę, obudziłaś go, Lilli - powiedział Dawid, kręcąc z dezaprobatą głową.

- To zajmij się nim chociaż raz! - krzyknęłam ze złością i rzuciłam się na łóżko.

Słyszałam, jak stara się uspokoić dziecko. Podgrzał mu butelkę, przewinał, potem nakarmił i przyniósł do mnie do pokoju. Na próżno, Camillo nie przestawał płakać.

Po pewnym, wystarczająco długim czasie podniosłam się i ukradkiem zerknęłam w ich kierunku. Dawid siedział na dywanie i opierał Camilla na kolanach. Trzymał go swoimi dużymi dłońmi i delikatnie kołysał. Mimo to mały nadal płakał. Dawid był wyraźnie zmęczony.

- Lilli, możesz go wziąć na chwilę? - poprosił w końcu. Wyglądało to tak, jakby Dawid był Dawidem, a Camillo - Goliatem. Dawid i Goliat - Dawid przeciwko Goliatowi.

- Jestem cholernie zmęczony - powiedział Dawid i podał mi Goliata. - Co mu jest?

Dlaczego tak krzyczy? To nie jest normalne...

Nie poruszyłam się.

- Lilli, proszę... Jutro wieczorem mam ważny koncert. Zawalę go, jeśli nie prześpię się trochę.

Nadal się nie poruszyłam. Po prostu siedziałam na łóżku i obserwowałam Dawida. Mojej mamy nie było w domu. Pojechała razem z Bernardem do przyjaciółki do Trewiru. Mieli wrócić dopiero nazajutrz po południu.

Zobaczyłam, że mój chłopak podnosi się.

Dał mi na rękę Camilla.

- Sorry, Lilli, jestem wykończony. Najlepiej będzie, jak pójdę do siebie, do domu. Muszę się położyć choć na godzinę...

Spojrzałam z niedowierzaniem na Dawida, potem na Camilla. Był środek nocy.

- Proszę, nie gniewaj się - dodał. Nie odezwałam się ani słowem.

- Wpadnę do ciebie jutro zaraz po szkole, OK? - usiłował mnie udobruchać.

Milczałam. Camillo darł się wniebogłosy.

- Nie gniewaj się - powtórzył, zakładając kurtkę. Stał naprzeciwko mnie z opuszczonymi bezradnie rękoma.

- Jednak się gniewasz - powiedział cicho i spojrzał na mnie niepewnie. Ale ja, unikając jego wzroku, pozostałam nieczuła na jego prośby. Nieczuła z wściekłości, przerażenia i smutku.

Potem wyszedł, a ja i Camillo zostaliśmy sami.

*

Tamtej nocy minuty ciągnęły się w nieskończoność.

- No, zaśnij wreszcie, Camillu, proszę, zaśnij - powtarzałam po raz setny. Zaparzyłam mu herbatkę i ostudziłam, przeniosłam go na stół do przewijania i pozwoliłam nagusieńkiemu wywijać rączkami i nóżkami. Śpiewałam mu piosenki i oglądałam z nim MTV. Puszczaliśmy Mozarta i No Angels, i Robbiego Williamsa.

- Camillu, już nie mogę - stwierdziłam z rezygnacją i zadzwoniłam do mamy na komórkę. Gdzieś daleko w Trewirze rozległ się sygnał, jednak mama zdawała się go nie słyszeć. Pewnie spała jak zabita, zadowolona, że ma wreszcie święty spokój.

Czułam, że po policzkach płyną mi łzy, a na ciele mam gęsią skórę. Otuliłam się kocem i chwiejnym ze zmęczenia krokiem przemierzałam z dzieckiem na rękach mieszkanie tam i z powrotem. W końcu nie dałam już dłużej rady nosić Camilla. Bolały mnie plecy i

ramiona. Drżąc, położyłam synka na sofie, a sama poszłam do kuchni. Tam usiadłam przy stole, położyłam głowę na blacie i rozplakałam się na dobre. Brakowało mi mamy, Annaleny, Wiktorii, a nawet Dawida. Czy wypadało zadzwonić do jego mamy i poprosić, by przyszła mi pomóc? Albo do Annaleny? Zerknęłam na zegar wiszący nad drzwiami. Wskazywał dopiero wpół do czwartej, a może raczej już wpół do czwartej...

O tej porze nie mogłam jednak do nikogo dzwonić! Wściekła i zrozpaczona wpatrywałam się w tykający zegar. Jak wolno, jak diabelnie wolno poruszały się wskazówki!

Z dużego pokoju dochodził płacz Camilla, zapadając mi w głowę niczym ostre cięcia.

W tej chwili nienawidziłam całego świata, a najbardziej Dawida, który ot tak sobie poszedł i zostawił mnie tu samą. Jak mógł zachować się w ten sposób? Dlaczego mnie nie było wolno?! Przecież Camillo jest tak samo jego dzieckiem, jak i moim. Na ułamek sekundy przyszedł mi na myśl mój ojciec, który także odszedł i zostawił mamę samą. Samą ze mną. O nie, nigdy, przenigdy nie chcę mieć z nim więcej nic wspólnego...

Mój wzrok padł nagle na zdjęcie polskiej babci, które wciąż jeszcze wisiało na tablicy nad kredensem. Spojrzałam na jej bladą, poważną i zmęczoną twarz. Miałam wrażenie, że patrzę na swoje lustrzane odbicie. Te same podkrążone z niewyspania oczy, to samo rozdrażnione spojrzenie, które widziałam za każdym razem, kiedy spoglądałam w lustro.

I tak Lilli Milewski przyglądała się Irenie Milewskiej, aż fotografia rozmyła się jej przed oczami...

*

Kiedy się obudziłam, wokół było już jasno. Za oknem ćwierkała głośno i radośnie para kosów. Odurzona niezwykłą melodią spojrzałam na zegar. Wskazywał wpół do dziewiątej! Niemożliwe, żeby była już ta godzina...

W całym mieszkaniu panowała cisza. Wstałam, jakby oszołomiona. Plecy wciąż mnie bolały, a głowę zdawała się opasywać ciężka obręcz. Czułam tępe pulsowanie w skroniach. Chwilę stałam bez ruchu w jasnej, pełnej słońca kuchni, czując własny nerwowy oddech.

Było wpół do dziewiątej...

Odkręciłam kurek i obmyłam zimną wodą rozpaloną twarz.

Było wpół do dziewiątej...

Wyjęłam z lodówki sok pomarańczowy, nalałam do szklanki i wypiałam małymi łyżkami.

Było tuż po wpół do dziewiątej...

Otworzyłam na oścież okno w kuchni, pozwalając wejść do środka świeżemu letniemu

powietrzu. Gałęzie jarzębiny rosnącej przed domem szeleściły na wietrze. Ból głowy ustawał pod wpływem lekkiego podmuchu, dlatego wciąż stałam w oknie i rozkoszowałam się wiatrem na twarzy. Ulica pachniała latem, które właśnie się zaczęło.

Wybiła godzina za kwadrans dziewiąta...

Nastał nowy dzień - i wreszcie... wreszcie... wreszcie... było znów cicho. Cicho w całym mieszkaniu. Wspaniale cicho. Cisza kołowała moje znękanym zmysłom. Tylko gdzieś tam głęboko w środku czaił się załęczek strachu, którego przezornie starałam się nie rozbudzać. A wręcz przeciwnie - ze wszystkich sił starałam się go od siebie odegnąć, tak by rozkoszować się tylko wspaniałą ciszą panującą wokół mnie. Naraz poczułam dziwną radość, włączyłam kuchenne radyjko i zajrzałam do pojemnika na chleb, w którym zostało się, niestety, tylko kilka sucharków.

Nabrałam ochoty na świeżą bułeczkę z nutellą. Z filiżanki, w której trzymamy drobne na domowe wydatki, wyjęłam pięć euro i wymknęłam się z mieszkania.

Na klatce schodowej natknęłam się na naszą sąsiadkę z naprzeciwka.

- No, a gdzie jest mały? - spytała, nie ruszając się z miejsca niczym nieufna strażniczka.

Nie odezwałam się.

- Ciężka noc - kontynuowała. - Przy tym wrzasku nie można zmrużyć oka.

Dalej milczałam.

- Ty też, dziewczę, jakies takie bledziutkie - zauważyła „strażniczka”, a jej głos po raz pierwszy zabrzmiał bardziej przyjaźnie. - Gdzie twoja mama? Miała nocny dyżur?

Pokręciłam przecząco głową, nadal czując się jakoś tak osobliwie.

- Idę tylko do piekarni na dół - usłyszałam swój głos.

Zaraz potem zadzwonię do pediatry.

Przełknęłam ślinę, znów poczułam czający się na dnie serca strach.

- Po pediatrę? - powtórzyła za mną sąsiadka. Nawet nie wiedziałam, jak się nazywa. Rzuciłam szybko okiem na tabliczkę na drzwiach jej mieszkania. „Strażniczka” nazywała się Jakob.

- A co, mały znowu choruje? - spytała. Zaprzeczyłam.

- Nie. Myślę, że umarł.

Mój głos rozległ się przerażającym echem po klatce schodowej.

- Umarł? - powtórzyła ze zgrozą pani Jakob. Przytaknęłam, a potem się rozplakałam. Oczywiście, że Camillo nie żył. W naszym mieszkaniu panowała ta grobowa cisza. Już od kilku godzin. Po prostu musiał nie żyć.

Dziwnie się poczułam, kiedy obca kobieta wzięła mnie pod ramię. Było mi niedobrze ze zmęczenia, zdenerwowania, ze strachu. Pani Jakob wyjęła mi z ręki klucze. Potem - jakby z oddali - widziałam, iż otwiera zamki i już w następnej chwili przekracza próg naszego mieszkania.

- Chętnie bym się jeszcze na trochę położyła, zanim pójde do dużego pokoju. Jestem potwornie zmęczona. I coś bym zjadła - usłyszałam samą siebie. - Jestem tak głodna, a jeśli najpierw przyjedzie lekarz i policja...

Chciałam pójść do kuchni, ale zamiast tego usiadłam na podłodze i oparłam głowę o kolana. Pani Jakob w tym czasie weszła do pokoju. Nagle wydało mi się, że w całym mieszkaniu czuć mój strach.

Wiedziałam, jaki widok czekał ją w dużym pokoju: zielony stwór z masy papierowej, chuda żyrafa z nakrapianego aluminium, kilka nowych figur z drewna, moje zdjęcia ulicy na ścianie - i maleńki, martwy Camillo.

Co się dalej stanie? Camilla trzeba będzie pochować. Położy się go w małej trumience, a ja z mamą pójdziemy na cmentarz...

Czy to moja wina, że umarł?

- Wszystko w porządku. Możesz wejść - w tej chwili usłyszałam głos sąsiadki.

Czekał na mnie Camillo. Leżał na kolorowej sofie pod kocem, którym przykryłam go przed kilkoma godzinami, i spoglądał radośnie. Gandalf leżał obok niego niczym kamienny lew i też patrzył na mnie.

Bardzo powoli podeszłam do sofy, kolana drżały pode mną, jakbym biegła w maratonie. Przyklękłam przed swoim dzieckiem i znowu się rozplakałam.

Pani Jakob została ze mną do czasu, aż wróciła mama z Bernardem. Ugotowała dla mnie obiad i pomogła mi przewinąć Camilla. Potem dałam mu butelkę, a pani Jakob usiadła ze mną przy stole i obserwowała, jak mały je.

- To wszystko jest o wiele za ciężkie dla ciebie - powtarzała. Dawid nie przyszedł po szkole, mimo że obiecywał. Nagrał się tylko na sekretarkę.

„Lilli, jesteś tam? Przykro mi, ale chyba nie będę mógł dzisiaj przyjść. Zaraz mamy próbę generalną, a potem już wyjeżdżamy. Po prostu nie dam rady. Ale przyjdę jutro, obiecuję! Jeszcze zadzwonię później. Trzymaj się...”

Palce miałam zimne i zdrętwiałe, kiedy naciskałam mały kwadratowy guzik na automatycznej sekretarce, by w sekundę skasować wiadomość od Dawida.

Kiedy wróciła moja mama, pani Jakob zebrała się do wyjścia.

- To o wiele za dużo dla pani córki - oświadczyła na odchodnym. Wcześniej

opowiedziała jej o tym, że ja sądziłam, iż Camillo umarł w nocy.

- Stała na korytarzu blada jak ściana. Chciała pójść po zakupy - relacjonowała stłumionym głosem - ... a nie miała nawet butów na nogach!

Jakiś czas później do drzwi zadzwoniła Annalena. Właściwie wpadła tylko, by mi powiedzieć, że od wczoraj ma chłopaka ze swojej grupy teatralnej. Gdy wychodziła, zdradziła mi jego imię. Za to zgodziłam się przynajmniej choć raz dać szansę rodzinie zastępczej dla Camilla.

- Tak będzie najlepiej - powiedziała przyjaciółka, kiedy odprowadzałam ją do drzwi.

Nic nie odparłam.

- Znów ich razem widziałam - dodała ostrożnie. Dawida i Miriam! Wiedziałam, że to ich ma na myśli.

- Siedzieli u „Luigiego” i jedli lody. Dzisiaj w południe. Przygryzłam wargi.

- Lilli, tym razem widział, że go zobaczyłam... Annalena ścisnęła moją zimną dłoń.

- Przykra sprawa - szepnęłam. Przyjaciółka przytaknęła.

- Spotkałam też Fabia - powiedziała nagle. - Czekał na ciebie przed szkołą.

- I...? Co mu powiedziałaś? - spytałam cicho. Annalena zwlekała przez chwilę z odpowiedzią. Potem odparła:

- Że... już poszłaś. Fabio.

Dawid.

Kręciło mi się w głowie. Poczulałam, że robi mi się słabo, rozboleł mnie brzuch.

Dawid okłamał mnie: spotykał się potajemnie z Miriam. Fabio czekał na mnie przed szkołą, ale nie wiedział nic o Camillu. I nie może się o nim dowiedzieć.

Może... może gdy Camillo znajdzie się u rodziny zastępczej... wtedy wszystko znowu się ułoży... między mną i Dawidem.

- Fabio chyba zakochał się w tobie po uszy - zauważyła Annalena, spoglądając na mnie. Potem wyszła.

Tamta noc była straszna.

Synek płakał przez prawie pięć godzin.

- Myślę, że on ząbkuje - orzekła mama, niosąc do mnie małego przez pogrążone w nocnej ciemności mieszkanie. Leżałam w łóżku. Wciąż myślałam o Dawidzie i po raz pierwszy żałowałam, że go w ogóle poznałam. Nie byłam jednak w stanie uronić choćby jednej łzy.

Następnego dnia mama zatelefonowała do pani z urzędu ds. młodzieży, z którą rozmawiałam jeszcze wtedy, gdy byłam w ciąży.

Dawid zadzwonił do mnie, tłumacząc się, że spotkał Miriam zupełnie przypadkowo, gdy czekał na chłopaków ze swojej kapeli.

- Nie wierzę ci - powiedziałam.

- Ale tak właśnie było - odparł. - Naprawdę, Lilli. Oznajmił mi, że w następnym tygodniu wyjeżdża razem ze swoją rodziną na południe Francji.

- Wy oczywiście też możecie się z nami zabrać, ty i Camillo - dodał na koniec.

- Nie - odmówiłam nieszczęśliwa, bo właśnie w następnym tygodniu rozstrzygnąć się miała przyszłość naszego synka.

- Dlaczego nie? - spytał Dawid.

Powiedziałam mu beznamiętnym tonem, że w następny poniedziałek odwiedzi mnie w domu przedstawicielka urzędu ds. młodzieży. W głębi duszy pragnęłam, by Dawid był temu przeciwny.

Ale nie był.

- Tak rzeczywiście chyba będzie najlepiej - powiedział zamyślony. Wtedy po prostu odłożyłam słuchawkę.

Potem zadzwonił do mnie Pabio i dociekał, dlaczego mam taki smutny głos. Nie mogłam mu nic powiedzieć.

*

Rozpoczęły się wakacje. Annalena wyjechała. Po niej także Wiktoria.

W weekend odezwał się do mnie tato z propozycją, bym poleciała z nim i jego rodziną na dwa tygodnie do Kalifornii.

- A co z Camillem? - spytałam.

- Czy twoja mama nie mogłaby się nim zaopiekować przez ten czas? - zaproponował, a ja poznałam po jego głosie, że niezbyt chętnie myśli o Camillu.

- Nie - odparłam ze złością i odłożyłam słuchawkę.

Ósmego sierpnia mój synek skończył cztery miesiące i wyrósł mu pierwszy ząbek. Tego samego dnia przyszła do nas pani Levin z urzędu ds. młodzieży.

Dzień później poznałam Waltraud i Franza, którzy byli chętni zabrać do siebie Camilla.

- Cześć, Lilli! - powiedziała do mnie obca kobieta. Nie była już młoda i miała krótkie, gdzieś przyprószone siwizną włosy.

Synek leżał w łóżeczku i wymachiwał rączkami. Poczułam, że gardło mam ściśnięte. Staralam się nie patrzeć w stronę Camilla. Wczesnym rankiem Dawid wyjechał ze swoimi rodzicami i braćmi do Francji. Nasze mamy zdażyły porozmawiać przez telefon o tym, co się dzisiaj miało wydarzyć, potem Dawid chciał jeszcze ze mną pogadać, ja jednak uciekłam do swojego pokoju.

Siedziałam teraz w dużym pokoju, razem z mamą, panią Levin i grubą kobietą o imieniu Waltraud oraz jej mężem, Franzem.

Był upał. Powietrze wokół nas zdawało się nieruchome.

Obcy mężczyzna pogłaskał mojego kota, a obca kobieta co chwilę zerknęła na Camilla.

- Mamy już dwójkę wychowanków - powiedziała Waltraud. - Kevina i Sabrinę.

Spoglądałam przed siebie zła i milcząca. - To prawda, państwo Mai już od dawna współpracują z tutejszym ośrodkiem do spraw młodzieży - dodała pani Levin.

- Naturalna matka Kevina też jest jeszcze niepełnoletnia - odezwała się Waltraud, uśmiechając się do mnie. - Widuje małego od czasu do czasu. Ty też będziesz mogła odwiedzać swoje dziecko, Lilli.

Patrzyłam na moje ręce.

- Wiesz, Lilli, sama zadecydujesz, jak często chcesz go widywać - kontynuowała.

- Mogłabyś go na przykład odbierać każdego dnia po szkole i przynosić do nas dopiero wieczorem... - kobieta zamilkła.

- Posłuchaj Lilli, Waltraud i Franz nie chcą odebrać ci Camilla - powiedziała cicho mama, dotykając mojej zimnej dłoni.

Milczałam.

- Chcą ci tylko pomóc w tym, byś znalazła jakieś rozwiązanie na przyszłość. Kiedyś może będziesz miała siłę zatrzymać u siebie na stałe Camilla. Bernard i ja zawsze ci pomożemy, pamiętaj o tym. I oczywiście także rodzice Dawida.

Chciałam coś powiedzieć.

Chciałam poderwać się z miejsca, zabrać Camilla z jego łóżeczka i uciec z nim.

Chciałam zadzwonić do Dawida i prosić go, by wrócił.

Chciałam krzyknąć i odesłać tych obcych ludzi.

Ale nic nie zrobiłam. Po prostu siedziałam i przypatrywałam, co się dzieje. Jak decydowali o mojej i Camilla przyszłości. O naszych losach, które odtąd nie miały się już tak ściśle ze sobą splatać.

Pojechaliśmy wszyscy do domu, w którym mieszkali Waltraud i Franz. Siedzieliśmy w ich ogródku, popijając sok pomarańczowy. Dwoje wychowanków bawiło się na trawie, a

Camillo spał w wózek stojącym między moją mamą a nowo poznaną kobietą, która od czasu do czasu rzucała mi ukradkowe spojrzenia.

Potem wróciłam z mamą do domu.

Na kolację były pieczone ziemniaki z kwaśną śmietaną. Przy zapalonej świeczce siedzieliśmy we trójkę - mama, Bernard i ja - na naszym niewielkim balkonie, w powietrzu czuć było zapach lata, tylko Camilla brakowało.

Z dużego pokoju docierały do nas dźwięki musicalu „Hair”, a ze swojego miejsca mogłam dostrzec wyszczerzone w uśmiechu oblicze zielonego stwora z masy papierowej. Po raz pierwszy uśmiech ten wydał mi się szyderczy. Szybko odwróciłam głowę.

Mama gadała cały czas. Opowiadała o miłej pacjentce, która wpadła na pomysł, by wspólnie z nią pracować nad projektem wideo. Mówiła też o swojej przyjaciółce z Trewiru, która miała zamiar wybrać się na rok do Tybetu.

Camilla nie wspomniała ani słowem. Bernard palił fajkę i przysłuchiwał się tej paplaninie. Siedziałam bez ruchu, myśląc cały czas o swoim dziecku. Przy tym muszę przyznać, że miło było nie słyszeć jego płaczu, nie musieć przygotowywać nowych butelek z mlekiem, nie mieć wokół siebie pieluch. Poprawiłam się wygodnie w wiklinowym krześle i wyprostowałam nogi.

Znów byłam niezależna. Uwolniłam się. Mogłam rozpocząć wszystko od nowa. Znów byłam taka jak inne dziewczyny, które znałam. Znów byłam zwyczajną nastolatką.

- Moglibyśmy w przyszłym tygodniu wybrać się do Włoch - zaproponowała nagle mama. - Tak jak w ubiegłym roku.

Spojrzała na mnie.

Potaknęłam szybko i wyparłam Camilla z moich myśli.

*

I pojechaliśmy do Włoch. Ponownie podróżowałam naszym małym samochodem i ponownie było w nim potwornie gorąco. Mama i Bernard śpiewali głośno razem z Edith Piaf, której głos dobiegał z włączonego odtwarzacza. Ja siedziałam sama z tyłu i wymieniałam SMS - y z Annaleną i Wiktoria.

Tym razem pojechaliśmy prosto do Marina di Ravenna. Całymi dniami nic nie robiłam, tylko leżałam plackiem na plaży. Nie miałam ochoty ani na pływanie, ani na łażenie. Leżałam na piasku i z zamkniętymi oczami przysłuchiwałam się szumowi fal i hałasowi ludzi wokół mnie. Nieznający litości sprzedawca orzechów kokosowych niestrudzenie wykrzykiwał codziennie: „*Coco! Coco! Coco!*”

Można było zwariować.

Dawid także przysłał mi SMS:

„Lilli, tak mi przykro. Jestem jednak z Miriam. Proszę, nie gniewaj się na mnie. Dawid”.

Przez dobrych kilka minut wpatrywałam się w tę wiadomość. Słońce piekło mnie w kark i w głowę.

Uśmiech Dawida. Spędzone wspólnie popołudnie nad brzegiem Renu, podczas burzy. Zielone oczy Dawida i „Melodie Lilli”, które dla mnie grał. Jego skoncentrowany, zdradzający zadowolenie wzrok, kiedy walił w perkusję, a ze skroni spływała mu strużka potu. Chwile, gdy spaliśmy ze sobą, a nasze ciała były tak blisko.

I nasze dziecko.

To wszystko minęło.

Dawid miał Miriam. Camillo - Waltraud i Franza. Zamyślona wsunęłam komórkę do plecaka i z powrotem położyłam się na ręczniku.

- *Coco! Coco! Coco!* - wołał sprzedawca kokosów, podczas gdy ja bezgłośnie płakałam.

*

Potem wysiadła mi komórka. Na szczęście Bernard pożyczył mi swoją, mogłam więc zadzwonić do Waltraud i Franza.

- Jak się miewa Camillo? - spytałam, wstrzymując oddech i nie przedstawivszy się. W tej chwili było mi wszystko jedno.

- Cześć, Lilli - odezwał się Franz. - Zaczekaj, dam ci Waltraud...

- Nie trzeba, chcę tylko wiedzieć, czy z Camillem wszystko w porządku - powtórzyłam nerwowo.

- Oczywiście, że tak - odparł mężczyzna, który teraz był opiekunem mojego synka.

- Dziękuję - powiedziałam i wyłączyłam się.

- Wszystko w porządku? - chciał się dowiedzieć Bernard, kiedy wyczuł, z kim rozmawiałam przez telefon.

Przytaknęłam słabo, starając się powstrzymać łzy.

- Dawid ma teraz... nową dziewczynę - powiedziałam nagle, tak sama z siebie, choć postanowiłam z nikim o tym nie rozmawiać.

Bernard spojrział na mnie, potem podszedł bliżej, usadowił się obok mnie na piasku i objął ramieniem. Nie rozplakałam się, ale mimo to poczułam się lepiej, mając świadomość, że

obchodzą go moje problemy i że troszczy się o mnie.

Przez cały wieczór mama przyglądała mi się. Byłam pewna, że Bernard wszystko jej opowiedział. Nie miałam o to do niego pretensji.

Następnego dnia poszłam z nim, tak jak rok temu, do bazyliki San Vitale. Tym razem towarzyszyła nam mama, i kiedy staliśmy znów przed kolorowymi witrażami, oboje postanowili pobrać się jesienią.

Uśmiechnęłam się do nich, gdy mi przekazali tę wiadomość, ale myślami byłam z Camillem, który rok temu tu, w tej bazylice był już obecny, choć wtedy o tym jeszcze nie wiedziałam.

A teraz nie było go tutaj ze mną, tylko przebywał z Waltraud i Franzem.

Milcząca i smutna wyszłam na zewnątrz, na słońce, i usiadłam na małej kamiennej ławce na skraju placu.

- Czy dobrze ci jest, Camillu? - spytałam bezgłośnie i nagle, mimo panującego upału, zrobiło mi się zimno.

*

Kiedy wróciliśmy do domu, po raz drugi zadzwoniłam do Waltraud i Franza.

- Jak się miewa Camillo? - spytałam. Tym razem najpierw się przedstawiłam.

- Dobrze, bardzo dobrze. Wyobraź sobie, że wczoraj wyrósł mu drugi ząbek - powiadomiła mnie z zadowoleniem Waltraud. W tle słyszałam synka. Serce zaczęło mi mocno bić.

- Chciałabyś go odwiedzić, Lilli? - kontynuowała przyjaźnie. Dlaczego była taka miła? Pragnęłam jej nienawidzić! Powinna być okropna.

- Tak. Nie. Nie wiem... - wyjąkałam nerwowo.

- Po prostu zadzwoń, kiedy zechcesz przyjść... - powiedziała Waltraud, a więcej nie mogła nic dodać, bo ja zwyczajnie odłożyłam słuchawkę, rzuciłam się na łóżko, nakryłam kapą i nie ruszałam się tak długo, aż zabrakło mi powietrza.

- Nienawidzę, nienawidzę, nienawidzę wszystkich - szeptałam bezustannie.

Potem zrozpaczona zaczerpnęłam powietrza. Nagle odniosłam wrażenie, że czuję zapach Camilla. Wszystko było nieprawdziwe. Nie było już Dawida. Nie było Camilla. Nie było mojego życia.

*

Annalena i Wiktorina wróciły z wakacji.

- Możemy wpaść do ciebie? - spytała Annalena, która zadzwoniła do mnie od razu

tego samego wieczoru po swoim powrocie do domu.

- Kiedy tylko chcecie - powiedziałam bez entuzjazmu. No i przyszły. Wiktoria przyprowadziła ze sobą Gustawa, a Annalena Michaiła, swojego przyjaciela o rosyjskich korzeniach, z którym należała do tej samej grupy teatralnej. Razem z nimi przyszedł Fabio.

- Dzwonił do mnie codziennie - szepnęła mi na ucho Annalena. - Nie chciał uwierzyć, że wysiadła ci we Włoszech komórka. Był przekonany, że masz kogoś innego i że nie chcesz z nim już rozmawiać... A gdy dowiedział się, że dzisiaj wieczorem wszyscy do ciebie idziemy, chciał koniecznie się do nas przyłączyć.

Przełknęłam ślinę i ukradkiem spojrzałam na Fabia. Zauważył, że mu się przyglądam.

W końcu podszedł do mnie i towarzyszył mi do kuchni po coś do picia.

- Brakowało mi ciebie, Lilli - powiedział. Pomyślałam o Dawidzie. I o Camillu, którego zdjęcie przypięłam do tablicy w naszej kuchni.

Fotografia „Dawid - Lilli - Camillo” leżała teraz w kopercie razem z innymi moimi zdjęciami, które chciałam niegdyś dać ojcu. Może sprezentuję je Bernardowi w dniu jego ślubu z moją mamą? Jeszcze nie zdecydowałam.

Fabio spojrzał na mnie i powiedział po włosku coś, czego nie zrozumiałam.

- Ej, ty, obcokrajowiec - szepnęłam i uśmiechnęłam się do niego nieśmiało.

- Mam ci przetłumaczyć? - spytał. Skinęłam głową.

- OK. Powiedziałem: „Zrobimy coś jutro? Obojętnie co. Najważniejsze, byśmy spędzili ten czas razem...”

Fabio patrzył na mnie.

Odwróciłam wzrok i nagle przytaknęłam.

Mieliśmy dobrą zabawę przez resztę wieczoru. Oglądaliśmy filmy na wideo, jedliśmy tacos i winogrona, a na koniec pochłonęła nas gra planszowa.

- Gdzie jest twój braciszek? - spytał nagle Fabio.

- W podróży z mamą i jej przyjacielem - odparłam szybko. Zauważyłam, że z boku przygląda mi się Annalena, jednak nic nie powiedziała, a ja przez następne minuty usilnie starałam się wyprzeć z pamięci to pytanie.

„Camillo, kochany Camillo...”

*

Dlaczego musiałam ciągle o nim myśleć?

Mimo to życie było teraz znów piękne. Wciąż świeciło słońce, a ja włóczyłam się z Annaleną lub z Fabiem. Wieczorami przesiadywaliśmy u mnie na balkonie, na balkonie Fabia

na dwunastym piętrze albo w ogródku u Annaleny.

Słuchaliśmy głośno muzyki i robiliśmy tyle hałasu, ile mieliśmy ochotę. Jednak gdzieś w środku, głęboko, czułam bolesny smutek.

Któregoś dnia zadzwonił do mnie Dawid. Przestraszyłam się okropnie, słysząc jego głos. Szybko odłożyłam słuchawkę. Jednak wieczorem mój były chłopak odezwał się znowu.

- Lilli, proszę, nie wyłączaj się - powiedział pospiesznie. - Byłem dzisiaj z mamą u Camilla. Mały ma się naprawdę dobrze. A jak urósł...

Milczałam zrezygnowana.

- Lilli, po prostu nam się nie udało, to wszystko - kontynuował Dawid. - Zresztą, to było zbyt trudne. Ale chyba najważniejsze, że jest Camillo i że ma się dobrze, prawda?

- Tak... - szepnęłam z wysiłkiem.

- Lilli, nie chcę, żebyśmy się nienawidzili. Jesteś... naprawdę wciąż dla mnie ważna, ale...

- Już dobrze - przerwałam mu.

- Lilli? - Co?

- Mogę dostać twoje zdjęcie? To z warkoczami, na którym siedzisz w kawiarni i pijesz lemoniadę? Wiem, że właściwie chciałaś je podarować swemu tacie...

- Zobaczę - powiedziałam cicho, choć w duchu już zadecydowałam: Dawid powinien dostać kopertę ze „zdjęciami Lilli”, pomimo tego, co się stało.

- A, jeszcze jedno... - zaczął, lecz ja już dłużej nie mogłam znieść tej rozmowy.

- Dawid, odkładałam słuchawkę - powiedziałam i tak zrobiłam. Na resztę dnia zaszyłam się w swoim nagrzanym od słońca pokoju.

Podczas weekendu robiłam coś, na co nie zdobyłam się nigdy wcześniej. Odwiedziłam całkiem sama prababcie Annaleny. Wyobrażałam sobie, że idę do własnej babci.

„Cześć, Ireno Milewska”, powtarzałam w myślach.

- Cześć, Marto - przywitałam się z prababcie Annaleny, gdy otworzyła mi drzwi.

- Lilli, jak to miło ciebie znów widzieć - ucieszyła się. - Właśnie gram w „Milionerów”. Annalena dała mi w prezencie CD - ROM do mojego komputera.

Pograłyśmy więc razem przez chwilę, zastanawiając się, co byśmy zrobiły z pieniędzmi, gdybyśmy rzeczywiście je wygrały.

- Dom w Rzymie - powiedziała zdecydowanie prababcia. - Resztę wydałabym na cele dobroczynne. Fundacja dla chorych na AIDS, dla biednych dzieci, schroniska dla samotnych matek...

Posłała mi uśmiech.

- A ty? Jak byś przehułała pieniądze? - spojrzała na mnie uważnie. - Może wolałabyś porozmawiać o czymś zupełnie innym? Na przykład o swoim dziecku?

Przełknęłam ślinę.

- Tak mi go brakuje - przyznałam w końcu cicho. Prababcia Annaleny pokiwała głową.

- Rozumiem cię dobrze - powiedziała, kładąc swoją starą, pomarszczoną dłoń na mojej.

- Ale nie dawałam sobie z nim rady - dodałam, roniąc łzy.

- To prawda, nie jest łatwo z dzieckiem - przyznała Marta, nalewając sobie i mnie herbatę.

- Teraz nie ma Camilla w domu, a ja czuję, że straciłam go na zawsze. Zapomni mnie. Stanę się dla niego nieważna. Będę mglistym wspomnieniem, a później nawet już nie będzie mógł mnie sobie przypomnieć... Staruszka pokręciła głową.

- Ale to przecież od ciebie zależy, czy będziesz oznaczać dla niego teraźniejszość, czy tylko przeszłość - powiedziała, wrzucając do herbaty trzy kostki brązowego cukru.

Nic nie odparłam. Pomyślałam tylko o tym, jak wspaniale było znów spędzać tyle czasu z Annaleną i Wiktoria. No i pozostawał jeszcze Fabio. Nie chciałam go stracić, ale w żadnym wypadku nie mógł się dowiedzieć o tym, że Camillo tak naprawdę nie był moim bratem, lecz synem.

- Dlaczego nie może się o tym dowiedzieć? - spytała prababcia.

Wzdrygnęłam się - widać musiałam głośno myśleć.

- Ponieważ on nawet nie wie, że ja już raz miałam... chłopaka - wyznałam w końcu. - Myśli, że jest moim pierwszym. A co by było, gdyby wiedział, że z jednym już nawet spałam? A potem jeszcze... urodziłam dziecko? Mając zaledwie piętnaście lat!

- Właśnie, co by było? - podchwyciła Marta, po czym wrzuciła sobie do herbaty czwartą kostkę cukru.

Wzruszyłam ramionami.

- Pewnie nie chciałby mieć ze mną więcej do czynienia... - powiedziałam, wpatrując się w ścianę.

- No to okazałby się ostatnim durniem, nic niewartym - podsumowała staruszka, wyprostowała się i duszkiem wypła herbatę.

W domu czekała na mnie mama.

- Dzwonił Fabio - oznajmiła. - Trzy razy.

Nic nie powiedziałam, spjrzałam tylko na fotografię Camilla na tablicy korkowej.

- Też mi go brakuje - powiedziała mama i stanęła obok mnie tak, że nasze ramiona zetknęły się.

Wpatrywałam się w zdjęcie. Jak ślicznie na nim wyglądał.

Szkoda, że miałam tak mało jego zdjęć. Sama nie zrobiłam mu ani jednego. Przypomniałam sobie o moim aparacie fotograficznym, którego nie ruszałam od miesiący.

W tym momencie rozległ się dzwonek do drzwi.

- Do mnie czy do ciebie? Jak sądzisz? - spytała mama i spojrzała na mnie.

Wzruszyłam ramionami. Ciężko mi było ruszyć się z miejsca. Mama poszła otworzyć, a ja nadal wpatrywałam się w zdjęcie Camilla. Następnie wzrok przeniosłam na fotografię mojej zmęczonej, nieznannej babci.

- Do ciebie - usłyszałam w tej chwili głos mamy. - Fabio. Podniosłam wzrok, gdy po kilku sekundach stanął przede mną.

- No? - powiedział i uśmiechnął się.

Milczałam, nie byłam w stanie odwzajemnić uśmiechu.

- *Ti manca il tuo bambino?* Ujął moje dłonie.

- Co powiedziałeś? - spytałam onieśmielona, bo Fabio tak dziwnie mi się przyglądał.

- Trzeba było uczyć się włoskiego - odparł i dodał znów coś po włosku.

Potem zamilkł i oboje patrzyliśmy na siebie.

- To co, idziemy? - odezwał się po raz trzeci Fabio. Tym razem już w moim ojczystym języku.

- Dokąd? - chciałam wiedzieć. Właściwie nie miałam ochoty nigdzie iść. Czułam się zmęczona, a myślami wciąż byłam przy nieobecnym tutaj Camillu. Dręczyła mnie obawa, że stracę z nim więź.

Wtedy Fabio ponownie odezwał się po włosku. Spoglądał na mnie z całkiem bliska.

- A więc OK, po kolei. Pierwsze, co powiedziałem: „Czy brakuje ci twojego dziecka?”

Zacząłam drzeć, zanim zdążył dokończyć zdanie.

- Drugie, co powiedziałem: „To szaleństwo, że masz już dziecko, ale ono już jest i należy do ciebie. Pójdziemy je odwiedzić?”

Wciągnęłam powietrze.

- A trzecia wypowiedź, jeśli dobrze pamiętam, brzmiała: „Jesteś najładniejszą dziewczyną, jaką znam”.

- Skąd wiesz, że Camillo jest... moim... moim....

Nie byłam w stanie dokończyć. Miałam mętlik w głowie. Fabio i tak mnie zrozumiał.

- Annalena wczoraj mi powiedziała - wyjaśnił i przeniósł wzrok na zdjęcie Camilla. -
Chodźmy go odwiedzić - dodał cicho.

Nagle wyrosła przed nami moja mama. Najwyraźniej słyszała ostatnie słowa Fabia.

- Mogłabym was podwieźć - zaproponowała ostrożnie. Wyglądała ślicznie, młodo i radośnie. Wydawać się mogło, że lekko brała życie. Przynajmniej lżej niż ja.

Miałam jednak coś ze swojej babci, Ireny Milewskiej. Przyjrzałam się starej fotografii. Dawid powiedział kiedyś, że moja babcia była ładna. Ładna jak ja. Fabio też uważał mnie za ładną.

Spojrzałam na zdjęcie Camilla. Jaki był na nim malutki. Teraz urósł i miał już dwa ząbki.

Nagle znów nabrałam ochoty na fotografowanie. Chciałam zrobić Camillowi wiele, wiele zdjęć.

I Annalenie z Michailem.

I Wiktorii z Gustawem.

I mojej mamie z Bernardem.

I Fabiowi.

I może nawet jakieś zdjęcie mojemu tacie z jego nową rodziną...

Ruszyliśmy do samochodu. Fabio z moją mamą na przedzie, ja z tyłu. Szłam coraz wolniej. Tak dawno nie widziałam Camilla. Czy w ogóle mnie pozna?

- Lilli. - Nagle obok znalazł się Fabio i złapał mnie za zimną rękę. - Co się stało?
Może jednak zostaniemy?

Milczałam, ale poszliśmy dalej.

Milczałam nawet wtedy, gdy mama otworzyła już drzwiczki auta.

Spojrzała na mnie.

- Lilli, nie masz się czego obawiać. Po prostu ciesz się na spotkanie z maleństwem!

Wzrokiem poszukałam przyjaciela. Kiwnął głową i uśmiechnął się. Moje uczucia do niego były zupełnie inne niż te, które swego czasu żywiłam dla Dawida. Prawdopodobnie było tak, bo się zmieniałam. Nie czułam się już taka samotna. Zanim poznałam Dawida, byłam nieszczęśliwa, bo mój tato nie interesował się mną. Mama też wydawała mi się samotna. Dawid zwrócił na mnie uwagę, a ja uczepiłam się go jak deski ratunkowej.

Od tamtej pory dużo się zmieniło. Fabio nie musi mnie przed niczym chronić, a ja wszystko traktuję z większą ostrożnością. Nie oceniam pochopnie innych. Nauczyłam się

akceptować mojego ojca takim, jakim jest, i przyjął do wiadomości fakt, że tak naprawdę nie chce mnie włączać w swoje życie. Ale za to miałam teraz Bernarda, o którym wiedziałam, że lubi mnie. Mnie i moją mamę - i Camilla.

To było jednak wspaniałe uczucie znów być zakochaną. Tak jak Annalena w Michaile, a Wiktorii w Gustawie.

Fabio dowiedział się o Camillu. I nic z tego sobie nie robił, że mam już dziecko. Kwadrans później zatrzymaliśmy się przed domem Waltraud i Franza.

- Chętnie bym ci o wiele bardziej pomagała przy Camillu, gdybym tylko miała więcej czasu - powiedziała mama, kiedy doszliśmy do domu, w którym teraz mieszkał mój synek. - Ale dzisiejsi dziadkowie najczęściej pracują jeszcze zawodowo...

Przytaknęłam słabo i uśmiechnęłam się do niej. A potem... byliśmy na miejscu. Waltraud zaprowadziła nas do ogrodu.

- Camillo - szepnęłam i wzięłam synka na ręce. Jaki był już duży!

Maluch zaśmiał się do mnie, a ja ujrzałam jego dwa malutkie ząbki, które wyglądały jak ziarenka ryżu.

- Cześć, Camillu... - odezwał się Fabio i pstryknął dziecko delikatnie w nosek.

Nagle poczułam się tak dobrze. Odwróciłam się do Waltraud, która z innym z jej podopiecznych siedziała na trawie.

- Dziękuję - powiedziałam cicho.

EPILOG

Dziś Lilli ma niecałe siedemnaście lat, a Camillo prawie dwa latka. Przedpołudnia chłopiec spędza, tak jak wcześniej, u swojej opiekunki. Natomiast Lilli zabiera go do siebie niemal we wszystkie popołudnia.

Nadal jest z Fabiem, który zresztą wiele czasu poświęca jej synkowi. Także matka Fabia bardzo lubi małego i od czasu do czasu pilnuje go. Kontakt z Dawidem i jego rodziną jest raczej nieregularny, ale nie całkiem zerwany.

Chłopak zdał właśnie maturę i nadal dużo gra na różnych instrumentach. W przyszłym roku chciałby podjąć studia muzyczne, najlepiej za granicą. Niebawem odbędzie zastępczą służbę wojskową.

Jego stosunki z Lilli można nazwać pokojowymi, ale z zachowaniem dystansu. Dopóki Dawid sam nie zacznie zarabiać, jego rodzice płacą comiesięczne alimenty na Camilla.

W dniu swoich osiemnastych urodzin, w przyszłym roku, Lilli otrzyma pełne prawo do opieki nad dzieckiem.

Dawid ma znów nową dziewczynę, która raz nawet wybrała się z nim do Waltraud i Franza.

- Kiedy się o tym dowiedziałam, poczułam się strasznie - opowiedziała mi Lilli. - A przecież sama mam Fabia, który też zajmuje się Camillem. Mimo to nie było mi obojętne, że dziewczyna Dawida trzyma Camilla na rękach i się z nim bawi. Muszę do tego przywyknąć...

Lilli znów sporo fotografuje, a Bernard, który ożenił się z jej mamą, urządził już dwa razy w swojej galerii niewielką wystawę ze zdjęciami Lilli.

Związek dziewczyny z ojcem nadal jest nieokreślony. Z tego powodu Lilli czasami się smuci, jednak nie odczuwa już tak wielkiej tęsknoty za nim jak niegdyś.

- Camillo ma o wiele większą rodzinę niż ja wtedy - powiedziała podczas naszego ostatniego spotkania. - Poza mną, moją mamą i Bernardem ma jeszcze Dawida, jego rodziców i braci. No i ma Pabia i jego matkę. I prababcię Annaleny. A wszyscy go bardzo lubią. Namalowałam mu drzewo genealogiczne i umieściłam na nim nas wszystkich. Nawet nazwisko mojego biologicznego ojca i imiona jego rodziców. Wynałazałam nawet, jak nazywali się rodzice mojej polskiej babci! Wyszło mi bardzo rozgałęzione drzewo. Wisi w moim pokoju na ścianie, tuż obok kołyski Camilla. Fabio zrobił kolorową kopię, jest ona w domu Waltraud i Franza, obok łóżeczka mojego synka.

Lilli milczy przez chwilę, potem uśmiecha się do mnie.

- Teraz jestem bardzo szczęśliwa, że mam Camilla. Należy do mnie i tylko do mnie, a czasami, kiedy się uśmiecha, jest bardzo, ale to bardzo podobny do Dawida...

